

Kaplice bliźniacze przy bazylice limanowskiej



Fot. Stanisław Ociepka

**Nowe wydawnictwo
„Solidarność na ziemi limanowskiej”**

**Zacząło się od... impulsu
30 lat firmy „Impuls”**

Z pamiętnika Leopolda Marsa

A jednak Sowlinka

**Wstrząsające fakty
Stara Wieś - 18 sierpnia 1942 rok**

Kapliczka Jońców „Pod lipami”

Historia limanowskiego parku

**Limanowski zajazd w Sowlinach
- raz jeszcze w innej odsłonie**



Fragment roboczego projektu panneau.

Panneau prezentowało kulturę ludową Ziemi Limanowskiej, poprzez wyeksponowanie strojów regionalnych, ich różnorodności i oryginalności, a także piękno krajobrazu Beskidu Wyspowego.

Limanowski zajazd w Sowlinach – raz jeszcze w innej odśłonie

Stanisław Ociepka



O limanowskim zajeździe turystycznym w Sowlinach pisałem w artykule zatytułowanym „Był niegdyś dumą, ale i zmartwieniem” („EL” nr 262-263, lipiec-sierpień 2016 r.).

Tym razem warto przypomnieć historię związaną z wykonaniem wystroju i wyposażenia jego wnętrza: sali głównej oraz alkierzy. Zbudowany na początku lat siedemdziesiątych XX wieku, swoim układem i sylwetką nawiązywał do zabytkowego dworu w Świdniku. Jego projektantem był mgr inż. arch. Krzysztof Białka, a inwestorem Rejonowa Spółdzielnia Zaopatrzenia i Zbytu w Limanowej. Wykonawstwem zajęli się cieśle, górale zakopiańscy. Kiedy zajazd wykonany był w stanie surowym, okazało się, iż jego drewniane stropy nie posiadają odpowiedniej wytrzymałości. Wówczas zwrócono się do mgr. inż. Franciszka Michałka o wykonanie projektu konstrukcyjno – wzmacniającego.

Magazynierem był Józef Zębaty. Zaopatrzeniem w materiały i narzędzia budowlane zajmował się Antoni Mamak. Po zgłoszeniu przez wykonawców zapotrzebowania na materiały sporządził on ich listę, którą osobiście musiał za potwierdzeniem ówczesny prezes Rejonowej Spółdzielni, Bronisław Tokarczyk, bowiem ta budowla była jego dumą i przedmiotem starań i troski.

Limanowa w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia stała się miastem rozpoznawalnym w Polsce za sprawą zdobycia ogólnokrajowego tytułu „Mistrza Gospodarności” (1972 r.) oraz zwycięstwa w telewizyjnym turnieju „Bak 440” i uzyskania głównej nagrody tej imprezy „Laur widzów” (1976 r.).

Ambicją władarzy miasta było więc wybudowanie atrakcyjnego niepowtarzalnego obiektu restauracyjno – hotelowego dla odwiedzających Limanową turystów, którym miał być właśnie limanowski

zajazd. Zaś prezesowi Tokarczykowi szczególnie zależało, aby wyposażenie jego wnętrza miało charakter regionalny.

Sprowadzono do Limanowej z Rabki Edwarda Pintschera, stolarza, cenionego artystę ludowego i jego dwóch synów, Edwarda i Józefa, do wykonania stylowych góralskich mebli, lamp, kinkietów. Wyposażono wnętrza artystycznymi wyrobami: kowalskimi, rymarskimi, snycerskimi, kołodziejскими wykonanymi przez zakopiańskich mistrzów.

Ponieważ prezes Tokarczyk pragnął, aby w poszczególnych pomieszczeniach były akcenty związane z Ziemią Limanowską, dlatego zwrócił się do Tadeusza Ociepki, znanego w Limanowej artysty malarza, aby ten zaprojektował i wykonał malowidła na ścianach, wzbogacając wystrój pomieszczeń o limanowskie akcenty. W tym czasie do Limanowej powróciła absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie mgr Małgorzata Palińska, ►



Projekt roboczy panneau wykonany w proporcjach umożliwiających „przeniesienie” go na tynk we właściwych rozmiarach.

► córka Tadeusza Ociepki, która w rezultacie podjęła się wykonania ściennych malowideł zarówno w sali głównej, jak i w poszczególnych alkierzach. Malowidła miały prezentować kulturę ludową Ziemi Limanowskiej poprzez wyeksponowanie strojów regionalnych, ich różnorodności i oryginalności, a także piękno krajobrazu.

Dekoracyjne ścienne malowidło tzw. panneau w sali głównej zajazdu miało wysokość ponad 2 metry i szerokość około 5 metrów. Wykonane było temperą i gwaszem łączonymi z farbą emulsyjną na podkładzie wykonanym farbą emulsyjną na ścianie.

O projekcie i wykonawstwie malowideł na ścianach zajazdu dla Czytelników „Echa Limanowskiego” opowiada Małgorzata Palińska, autorka panneau: *Przedstawiało ono grupy: Lachów i Kamiennickich Górali na tle panoramy Beskidu Wyspowego, a ściślej: charakterystyczny krajobraz Ziemi Limanowskiej z uprawnymi polami, starym młynem wodnym, chatami. Nastroj dopełniało lato, duża część prac polowych jest już za młodymi ludźmi, którzy spotkali się w odświętnych strojach, by porozmawiać „po męsku”, wysłuchać uwag starszych od siebie (grupa Lachów), zaprezentować urodziwą*



Na tle panneau w strojach regionalnych kelnerzy zajazdu. Od lewej: Maria Górka, Kazimierz Biedroń, Jadwiga Bukowiec.



W głównej sali zajazdu, panneau na ścianie, według własnego projektu, maluje Małgorzata Palińska (Ociepkówna - córka Tadeusza).

pannę (w stroju szczyrzyckim) i bawić się – potańczyć w rytm muzyki kapeli ludowej Kamienickich Górali – miłe chwile, wspólny relaks, pozytywne emocje, a więc to wszystko, czego życzyli gościom twórcy zajazdu.

We wspomnieniu tych czasów i zajazdu limanowskiego Małgorzata Palińska dalej opowiada, iż: wysuwa się na plan pierwszy postać prezesa RSZiZ w Limanowej Pana Bronisława Tokarczyka, którego „oczkiem w głowie” był właśnie zajazd. Był on bardzo zaangażowany w urządzanie i wystrój tego miejsca – stale miał nowe pomysły, które urzeczywistniał, a zajazd nabierał niezwyklej atmosfery.

Miło było tam się wybrać, zaprosić kogoś nawet spoza Limanowej, pochwalić tym wspaniałym obiektem i zawsze pysznymi potrawami.

Do alkierza myśliwskiego namalowałam, na zamówienie wspomnianego prezesa, myśliwego wracającego z polowania (obraz olejny o wymiarach około 130x90 cm) oraz osobne dwa obrazy o wymiarach (90x 60 cm), przedstawiające głównie lisa i zająca – również olejnymi farbami.

Alkierz rycerski także zdobył mój obraz, który przedstawiał, jak się łatwo domyślić, rycerza w zbroi, w średniowiecznym wnętrzu (olej, wym. ok. 130x80 cm).



Projekt myśliwego (obraz w alkierzu myśliwskim).



Projekt rycerza (obraz w alkierzu rycerskim).

A chociaż tamto duże „zamówienie”(PANNEAU) było dla mnie wielkim wyzwaniem, to w sprawach związanych ze strojami ludowymi, postaciami i krajobrazem czułam się jak „ryba w wodzie”, bo od dawna interesowałam się tą tematyką. Będąc jeszcze uczennicą szkoły podstawowej (klasa VII) i nieodżałowanej nauczycielki plastyki p. Marii Wasilewskiej, zdobyłam nagrodę za pracę pt. „Taniec – Krakowiak” w międzynarodowym konkursie pod patronatem UNICEF w Indiach.

Dbając więc o detale przedsięwzięcia, jakim było panneau, konsultowałam się z dyrektorem Muzeum Regionalnego w Limanowej, Janem Wielkim i korzystałam ze zbiorów muzeum. W przypadku tematyki myśliwskiej moje trudności rozwiązały konsultacje z p. Stanisławem Mamakiem, prezesem i łowczym w latach 1948-78, Koła Łowieckiego „Jaworz” w Limanowej.

► Przyswoiłam wtedy wiele podstawowych i bardzo ciekawych wiadomości. Zdecydowałam się na przedstawienie w obrazie momentu związanego z otwarciem sezonu myśliwskiego – jesień: Myśliwy wraca z polowania z zawieszonymi przy torbie bażantami. Kolorowe drzewa, mgły i wrzosa na pozółkłej trawie tworzyły tło.

Fantazja Pana Bronisława Tokarczyka nie miała końca! Zamawiał u mnie też obrazy, by ozdobić korytarz na piętrze zajazdu – była to część hotelowa. Malowałam je gwaszem, a przedstawiały dawne sceny rodzajowe z życia tutejszej ludności w regionalnym wydaniu. Miałam wtedy dużo przyjemności, ale też i nauki, a gdy spłonął limanowski Zajazd, całym sercem dzieliłam wielki smutek prezesa Bronisława Tokarczyka.

Niestety oryginalny zajazd, a także trud wielu ludzi – artystów włożony przy jego budowie poszedł na marne. W niepełną godzinę został zmieciony z powierzchni ziemi przez ogromny pożar, który rozszalał się nocą 27 kwietnia 1979 roku. Pozostały tylko pozółkłe fotografie i wspomnienia, a także piosenka z repertuaru działającej we Wrocławiu w latach 70. grupy muzycznej „SETA” (Studencka Elipsa Turystyczno-Artystyczna) zatytułowana: „Karczma w Limanowej”, której fragment brzmi:

*Przy piwie w karczmie w Limanowej/
Zapatrzeni w siwe mgły jesienne/ Czekaliśmy
na autobusowe/ Ostatnie lata połączenie/
Bóg przez okno złoty talar rzucił/ Słonce
na obrusie/ Od dziewczyny w barze po-
zyczyłem uśmiech/ Oddam w autobusie/.*

*A po lesie wiatr/ Rwie na strzępy pa-
jęczyny nie/ A po polu wiatr/ Rozsypuje
kopce siana w pył/ Do pusztych traw
się tuli/ Skrada się do pustych ptasich
gniazd/ Po strumieniach z wodą śpiewa/
Lekkomyślny wiatr/.*

*Wpatrzeni w okna milczeliśmy wszy-
scy/ Nikt nie przerywał czekania/ Nawet
gitary zacisnęły zęby/ Wiedziały - już nie
będzie grania/ Oczy dziewczyny szeptały
„zostań!”/ Czas się zatrzyma w Limanowej/
Oddałem uśmiech, przewróciłem kufel/
Na stół talar spadł.*

A po lesie wiatr (...)

Dziękuję Pani Małgorzacie Palińskiej za rozmowę i udostępnienie projektów panneau.

Nowe wydawnictwo Solidarność na ziemi limanowskiej



Plakaty i ogłoszenia na ścianie budynku u zbiegu ulic Krótkiej i Kościuszki nalepione w dniu wprowadzenia stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku.

We wrześniu bieżącego roku nakładem Wydawnictwa Naukowego Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie ukaże się książka naukowa autorstwa dwóch nauczycieli akademickich: prof. prof. Anny Siwik z AGH i Tomasza Jana Biedronia z Uniwersytetu Pedagogicznego zatytułowana: „**SOLIDARNOŚĆ na ziemi limanowskiej – regionalny wymiar ruchu społecznego 1980-1989**” w nakładzie 100 egzemplarzy. Wzmiankowani autorzy opracowali znaczną część rozdziałów wchodzących w skład II tomu Dziejów Miasta Limanowa za lata 1945-1989, a teraz postanowili uzupełnić dzieje Solidarności w Polsce o jeszcze jeden region, który nie był dotąd przedmiotem głębszych badań źródłowych: o powstanie i działalność Solidarności na Limanowszczyźnie, z uwzględnieniem szerszego tła województwa nowosądeckiego. Ten stosunkowo biedny region bez silnego zaplecza przemysłowego nie należał do tradycyjnych bastionów Solidarności, której naturalnym środowiskiem były wielkie zakłady pracy. Z drugiej strony

ten „peryferyjny” obszar może być potraktowany jako „typowy” dla innych rolniczych części Polski, gdzie także rozwijał się ruch związkowy. Dodatkowym motywem skłaniającym autorów do podjęcia tego tematu był brak opracowanych dziejów Solidarności w monograficznym wydaniu dwóch wcześniejszych tomów poświęconych Limanowej¹. Oddawana do rąk Czytelników książka to swoisty suplement w tym zakresie, oparty o całą dostępną bazę źródłową dotyczącą NSZZ Solidarność: materiały Zarządu Regionu Małopolska NSZZ „Solidarność” Oddział nr 6 – Biuro w Limanowej; Archiwum NSZZ „Solidarność” Małopolska – Fundacja Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego; Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Krakowie; Zbiór „Solidarności” 1980-1981 – Archiwum Narodowe w Krakowie, a także Oddział w Nowym Sączu i filia w Nowym Targu; zbiory prywatne – dokumenty i materiały w posiadaniu śp. p. Zofii Galickiej. Niezwykle obfity zbiór stanowią dokumenty IPN, choć autorzy

zdają sobie sprawę jak jednostronne jest to źródło, do którego należy podchodzić ze szczególną ostrożnością i krytycyzmem. Niemniej jednak materiały tam zgromadzone pozwalają poznać skalę infiltracji związku poprzez tajne służby i zbadać, jakimi informacjami na temat samorządowego związku dysponowała władza. Ponadto wykorzystano źródła drukowane, relacje i wspomnienia, biuletyny wewnętrzne i okólniki, a także wywiady z działaczami Solidarności. Cenne były także informacje prasowe – łącznie dokonano kwerendy 25 gazet oraz dwóch czasopism: „Rocznik Sądecki” i „Sowiniec”.

Układ pracy ma charakter chronologiczno-problemowy. Rozdział pierwszy, w pewnym sensie najważniejszy, obejmuje okres od lata 1980 roku po wprowadzenie stanu wojennego. Autorzy starali się przedstawić w nim: początki, rozwój, działalność i strukturę związku. Rozdział drugi poświęcony jest „Solidarności Wiejskiej”. Rozdział trzeci ukazuje Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność” w otoczeniu zewnętrznym; chodziło o pokazanie skali infiltracji związku przez tajne służby, o relacje z PZPR, wreszcie o rolę Kościoła. Rozdział czwarty – czas od stanu wojennego po jego zniesienie – jest wypełniony problematyką związaną z internowaniami, pomocą rodzinom i powrotom działaczy do „normalnego życia”. Wart podkreślenia był kontekst społeczny, związany z postępującą apatią i niewiarą w przyszłość. Ostatni rozdział – ukazuje schyłek systemu i towarzyszące temu procesowi zjawiska. Istotne wydaje się pokazanie zachodzących przemian z perspektywy tajnych służb. Pracę wieńczy indeks osób i zdjęcia z okresu stanu wojennego autorstwa Zbigniewa Dutki z Limanowej.

Promocję tej niewątpliwie wartościowej pozycji na rynku wydawniczym planuje się na październik 2017 roku. Prezentacja będzie miała miejsce w Limanowej.

Recenzentami pracy byli: prof. dr hab. Jacek Chrobaczyński z Uniwersytetu Pedagogicznego i prof. dr hab. Tomasz Gąsowski z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Stanisław Ociepka

¹Limanowa. *Dzieje miasta 1565-1945*, pod red. F. Kiryka, t. I, Kraków 1999; *Limanowa Dzieje miasta, tom II, 1945-1989*, pod red. T. Biedronia, Kraków 2002.



Plakaty i ogłoszenia na witrynach okiennych domu towarowego w Limanowej. Fotografie wykonano w dniu wprowadzenia stanu wojennego.



Budynek RSZiZ po stronie północnej rynku. Uwagę zwraca zawieszona na nim flaga „Solidarności” po wprowadzeniu stanu wojennego. Fotografie: Zbigniew Dutka.

Sztetl Limanowa

– pierwszy spacer historyczny szlakiem Żydów po Limanowej



I spacer historyczny szlakiem Żydów w Limanowej rozpoczął się przed siedzibą Muzeum Regionalnego Ziemi Limanowskiej. Przewodnikami grupy mieszkańców byli: (na fotografii obok, od lewej) Łukasz Połomski i Karol Wojtas.

W niedzielę 16 lipca 2017 r. odbył się spacer historyczny szlakiem Żydów po Limanowej. Przewodnikami kilkudziesięcioosobowej grupy mieszkańców miasta i przybyłych z różnych stron Polski gości byli Łukasz Połomski i Karol Wojtas. Spacer trwał ponad dwie godziny i przybliżył wszystkim uczestnikom świat limanowskich Żydów. Spacer został zorganizowany z okazji 75. rocznicy likwidacji getta limanowskiego. Przed II wojną światową Limanowa była typowym Sztetlem, czyli polsko – żydowskim miasteczkiem. Jego istnienie przeżył wybuch II wojny światowej i okupacja niemiecka.

Spacer rozpoczął się przed siedzibą Muzeum Regionalnego Ziemi Limanowskiej, gdzie Karol Wojtas w skrócie przedstawił przeszłość miasta od momentu lokacji w 1565 r. do II wojny światowej oraz poinformował kiedy pierwsi Żydzi pojawili się w naszym mieście. Później przedstawił krótko okres, kiedy społeczność żydowska Limanowej znacznie się rozwinęła oraz jak się dzieliła.

Następnie uczestnicy przeszli pod dawny browar Marsów, dziś Starostwo Powiatowe skąd podziwiali położony w oddali na skarpcie nad ulicą Kościuszki dom znanego limanowskiego adwokata i radnego miejskiego Jana (Jonasza) Hammerschläga, który reprezentował zasymilowaną społeczność żydowską Limanowej. To jeden z najpiękniejszych domów w całym mieście, a obecnie



mieści się w nim Szkoła Muzyczna. Karol Wojtas i Łukasz Połomski zaznaczyli, że wyznawcy judaizmu w Limanowej dzielili się na tych bardziej i mniej religijnych, a można było ich odróżnić m.in. poprzez noszone przez nich stroje. Charakterystyczną grupę w Limanowej stanowili chasydzi, którym przewodził



Powyżej: Na placu dawnego browaru Marsa (początkowo browar prowadzony był przez limanowskiego Żyda). Dzisiaj budynek Starostwa Powiatowego. W głębi na skarpie kamienica adwokata Jonasza Hammerschläga (obecnie Szkoła Muzyczna).

Obok: Kamienica Hammerschläga (u góry zdjęcia) widziana od strony ulicy Sądeckiej (obecnie Kościuszki). Na pierwszym planie rejon tzw. „Spaleniska”. Fotografia z okresu okupacji.

rabin limanowski Chaim Teitelbaum, zięć samego cadyka bobowskiego. Po śmierci w latach 30. XX w. został on pochowany u boku teścia, na cmentarzu w Bobowej. W Limanowej w okresie II RP funkcjonowały 3 bożnice, cmentarz żydowski oraz kilka chederów.



Powyżej: W rejonie Małego Rynku Karol Wojtas wyjaśnia, gdzie mieściła się jedna z trzech bożnic żydowskich.

Poniżej: Jedna z trzech bożnic w Limanowej (budynek z prawej z oknem - widok z wieży kościoła). Fotografia z okresu okupacji.



Następnie uczestnicy spaceru ulicą Krótką udali się do Rynku. Wyobrażenie sztetlu oddaje dobrze dziś klimat i częściowo architektura ulicy Krótkiej. Właśnie tam, na kolejnym przystanku, omówiono typową architekturę żydowskich dzielnic: biedną, drewnianą, parterową i gęstą. Takie warunki życia groziły rozprzestrzenianiem się wielu chorób, ale także stanowiły niebezpieczeństwo pożarowe. Stąd także w wyniku takiej zabudowy w Limanowej w maju 1915 roku doszło do pożaru miasta. Spłonęła wtedy duża część budynków w tej części miasta zwanej do dziś „Spaleniskiem”.

Następnie uczestnicy przeszli do Rynku, gdzie omówiono jego historię i zabudowę. Na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat główny plac miasta zmienił się nie do poznania. Rynek, wokół którego znajdowało się dawniej mnóstwo sklepów żydowskich, ale także polskich, pełnił ważną rolę. Charakterystycznym elementem limanowskiego Rynku były domy z podcieniami, które spłonęły w styczniu 1945 roku. Nad Rynkiem dominuje limanowska bazylika zbudowana w latach 1911 – 1918. Warto nadmienić, że w jej budowę zaangażowali się też limanowscy Żydzi, którzy doradzali w wielu kwestiach



Żydowskie chłopcy wyglądający przez okno chederu, który mieścił się w rejonie dzisiejszej ulicy Kościuszki.



Miejsce egzekucji Żydów pod murem na ulicy Kilińskiego („Kamieniec”), gdzie w 1942 roku było getto. **Z lewej:** Fotografia wykonana w czasie spaceru. **Z prawej:** fotografia z lat powojennych.

► finansowych ówczesnemu proboszczowi i budowniczemu ks. Kazimierzowi Łazarowskiemu. Niektórzy z Żydów dzięki swym kontaktom pomogli także ks. Łazarowskiemu kupić i sprowadzić do Limanowej niektóre materiały potrzebne do budowy i wykończenia wnętrza. Ks. Kazimierz Łazarowski był to niezwykle kapłan, którego z całą pewnością można zaliczyć do pionierów dialogu chrześcijańsko – żydowskiego!

Następnie grupa przeniosła się na teren dawnego getta limanowskiego, na tzw. „Kamieńcu”. Getto utworzyli Niemcy dla limanowskich Żydów w czerwcu 1942 roku. Uczestnicy spaceru wspólnie przeszli granicami tej zamkniętej dzielnicy żydowskiej. Getto to nie miało murów, ale wyjście poza jego granice groziło śmiercią. Idąc przez „Kamieniec” uczestnicy spaceru zatrzymali się w miejscu, gdzie Niemcy przy murze dokonali egzekucji kilkudziesięciu Żydów oraz w okolicy placu (dawniej „Targowicy”), gdzie odbyła się selekcja przed transportem Żydów do obozu zagłady w Bełżcu.

Zebrani zobaczyli też miejsce, na którym stała niegdyś jedna z trzech limanowskich bożnic (okolice Małego Rynku). Kilka budynków na „Kamieńcu” pamięta jeszcze okres getta, jednym z nich jest dawna garbarnia a obecnie siedziba MOPS. Prowadzący spacer oraz uczestnicy zauważyli, że uderzającym w Limanowej jest brak jakichkolwiek upamiętnień miejsc

wydarzeń z tragicznej historii okresu II wojny światowej, choćby w formie niewielkiej tabliczki (np. w miejscach egzekucji).

Następnie wszyscy przeszli w rejon tak zwanego dawniej „Piekła”. Jest to część miasta w rejonie ulic Mordarskiego i Szwedzkiej. Tutaj dawniej znajdowała się mykwa, dom rabina, kolejna bożnica i rzeźnia żydowska. Kilka z tych budynków istnieje do dzisiaj, choć w mocno zmienionej formie i pełni całkiem inne funkcje.

Spacer zakończył się na moście przed Limanowskim Domem Kultury. Zadowoleni uczestnicy pytali na koniec o następne spacer historyczne oraz o niektóre szczegóły z kultury, historii i życia codziennego Żydów.

Dzięki spacerowi limanowianie i goście spoza Limanowej poznali przeszłość miasta, gdzie niemal połowę mieszkańców w pewnym okresie dziejów stanowili Żydzi, a dziś niewiele osób zdaje sobie sprawę z tego, że wraz z zagładą skończyła się też Limanowa wielokulturowa. Niewiele osób także zdaje sobie sprawę, że w Limanowej poza cmentarzem żydowskim, istnieją jeszcze inne ślady Żydów limanowskich, które wielu przechodniów mija codziennie kilka razy.

Fotografie: Stanisław Ociepka, arch. Sztetl Nowy Sącz



Rejon tzw. „Piekła”, dziś ulica Mordarskiego i Szwedzka. Tutaj dawniej znajdowała się mykwa, dom rabina, kolejna bożnica i rzeźnia żydowska. **Z lewej:** Orowadza Łukasz Połomski. **Z prawej:** Rejon „Piekła” w latach trzydziestych XX wieku.

Limanowa z lat międzywojennych



Ulica Krakowska, dzisiaj Jana Pawła II.



Powyżej z lewej: Na ulicy Krakowskiej w rejonie tzw. „Piekła”.
Powyżej: „Kamieniec” widok z wieży kościoła.
Obok: Podcienia na północnej stronie limanowskiego rynku.

Zaczęło się od...impulsu 30 lat firmy „Impuls”

Istnieje już od trzydziestu lat na limanowskim rynku. Jest największym składem materiałów budowlanych na terenie powiatu. Dla najmłodszych mieszkańców symbolem firmy pozostaje ogromny słoń, stojący przy ul. Piłsudskiego, poniżej jej siedziby (w rzeczywistości to logo Bruk – Betu, jednego z kontrahentów). „Impuls” to firma rodzinna, w której pracują obecnie dwa pokolenia rodziny Wojtasów; założyciele Maciej i Grażyna oraz ich dzieci: Łukasz, Mariusz, Iwona i Ewelina. Nazwa, nadana pod wpływem impulsu podczas rozmowy właściciela z bratem, zasugerowana czytaniem w gazecie artykułem, trafnie odzwierciedla charakter przedsiębiorstwa. Źródłami sukcesu firmy są: pomysłowość, pracowitość, umiejętność wycucia potrzeb rynku oraz „impulsywne” działanie, kontrolowane przez rozsądek. Podstawę stanowi więź łącząca rodziców i dzieci oraz dobre relacje między właścicielami a pracownikami.

remontowe i porządkowe. W latach 90. etapami Maciej Wojtas odkupił od Zarządu PKP cały teren.

Ważnym momentem w historii „Impulsu” stało się zrzeszenie w 2001 roku z grupą PSB (Polskie Składy Budowlane), do której należy 450 składów budowlanych i 500 producentów, co zapewniło dostęp do materiałów oraz bardzo korzystne ceny. Dziś firma zatrudnia 100 osób. Posiada oddziały w Ujanowicach, Laskowej, Pisarzowej oraz w Krakowie. Wśród kontrahentów znajdują się popularni producenci m.in. Knauf, Kaparol, Bruk-Bet, Atlas, Ceresit, Builder, Leier, Fakro.

Nowe pokolenie, nowe pomysły...

Dzieci Państwa Wojtasów dorastały wraz z rozwojem firmy. Podczas wakacji były w niej zatrudniane, uczyły się obowiązkowości i pracowitości. Pomagały też w prowadzeniu stadniny koni. Dziś troje z nich kieruje działalnością „Impulsu”;



Grażyna i Maciej Wojtasowie w czasie IV Targów Budowlanych IMPULS 2004



Piknik w czasie Targów Budowlanych - 2004 rok.

Impulsy do działania

Pomysł założenia własnego przedsiębiorstwa powstał w 1987 roku. „Zaczynałem od jednoosobowej firmy transportowej – wspomina Maciej Wojtas – gdzie byłem dyrektorem, mechanikiem i kierowcą. Zająłem się handlem opalem, co wówczas przynosiło znaczne zyski. Następnie okazało się, że zwiększył się popyt na materiały budowlane, więc zmieniłem asortyment towarów. Po dwóch latach kupiłem ciężarowy samochód. Zepsuł się podczas pierwszego kursu, a ja stanąłem na rozdrożu; sprzedać samochód i zakończyć działalność czy... zaryzykować i zadłużyć się. Była to najtrudniejsza decyzja w moim życiu. Czas pokazał, że wybrałem właściwie.”

Początkowo siedziba firmy mieściła się na terenie Spółdzielni Inwalidów „Limanowianka”. Następnie właściciel wydzierżawił teren od PKP. Były to trudne czasy dla przedsiębiorców, firmy państwowe odnosiły się z uprzedzeniem do „prywaciarzy”. Stopniowo między właścicielem terenu a dzierżawcą nawiązała się współpraca; pomoc w odśnieżaniu terenu, usługi

Łukasz jako ekonomista, Mariusz – specjalista od zarządzania i Iwona, która ukończyła studia prawnicze.

W działalności firmy harmonijnie współlistnieją kreatywność i rozmach młodych z rozsądkiem założyciela. „Wizja młodych ludzi – mówi Maciej Wojtas – różni się od mojej, wynika z innych uwarunkowań na rynku. Prowadziłem interesy z ostrożnością, a młode pokolenie dopuszcza dużo większy margines ryzyka. Mają też inne oczekiwania i potrzeby. Jednak cenią moje doświadczenie i konsultują nowatorskie pomysły. Trudno porównywać obecny rynek z rzeczywistością lat 80., gdy zakładałem firmę. Wtedy nie było możliwości zaciągnięcia kredytu ani też pozyskania środków unijnych. Na początku działalności nie korzystałem z pomocy prawników, dużą wagę miało słowo i ustne ustalenia z kontrahentami. Obecnie niemożliwe jest zawarcie jakiegokolwiek umowy bez konsultacji prawnej. Natomiast nadal, tak jak dwadzieścia lat temu, przedsiębiorcy muszą zmagać się z obowiązującymi przepisami, utrudniającymi działalność małym firmom.”

Handel materiałami budowlanymi, który był podstawą działalności „Impulsu” nie jest już tak rentowny jak 20 lat temu. Trzeba poszukiwać nowych form rozwoju, aby utrzymać obecny poziom zatrudnienia.

Dzięki pomysłowi syna właściciela, Mariusza w 2014 roku powstała firma „Impuls Contractor”, specjalizująca się w wykonywaniu robót budowlanych i remontowych, a szczególnie wylewek utwardzanych powierzchniowo (parkingi, tereny osiedli mieszkaniowych) oraz posadzek żywicznych. Otrzymuje zlecenia na terenie całej Polski.

Nową formą działalności jest budowa pierwszego w Małopolsce toru szkoleniowego Moto Park Kraków przy ul. Rzepakowej w Krakowie. To przyszłościowa inwestycja, gdyż od następnego roku wg nowych przepisów, kierowca uzyskujący uprawnienia do kierowania pojazdem będzie zobowiązany do odbycia szkolenia na takim torze. Już obecnie centrum sportowo – szkoleniowe Moto Park Kraków organizuje szkolenia dla kierowców indywidualnych i przedstawicieli firm. Instruktorem jest Michał Kościuszko, znany kierowca rajdowy.

W środowisku lokalnym

Firma „Impuls” dziesięciokrotnie została nagrodzona tytułem „Fair Play”. Właściciele zwracają uwagę na etyczny wymiar działalności, a zwłaszcza na warunki zatrudnienia oraz relacje z pracownikami. Wielu z nich to osoby zatrudnione w firmie od początku istnienia, zaangażowane w jej rozwój i tworzące jej sukces. Wielokrotnie „Impuls” wyróżniono też tytułami „Gazeta Biznesu” oraz Lidera Przedsiębiorczości Powiatu Limanowskiego.

Właściciela „Impulsu” Macieja Wojtasa szczególnie satysfakcjonują nagrody o charakterze lokalnym, świadczące o postrzeganiu firmy w środowisku limanowskim. Zaangażował się w działalność Stowarzyszenia „Razem” oraz Regionalnego Stowarzyszenia Przedsiębiorców, w których pełni funkcję wiceprezesa Zarządu. Bardzo ważne są dla niego działania na rzecz rozwoju przedsiębiorczości w powiecie limanowskim. Co roku dla wyróżnionych firm stowarzyszenie organizuje Galę Przedsiębiorczości.

Uroczystości związane z obchodami 30 lat firmy odbyły się 3 czerwca br. Do wspólnego świętowania właściciele zaprosili pracowników, przyjaciół firmy oraz mieszkańców Limanowej. Dla najmłodszych przygotowano liczne atrakcje w związku z Dniem Dziecka: plac zabaw, dmuchana zjeżdżalnia, suchy basen, ścianka wspinaczkowa. Na klientów czekały atrakcyjne nagrody i promocje.

Moim największym osiągnięciem – podsumowuje Maciej Wojtas – było stworzenie firmy od podstaw i prowadzenie jej przez 30 lat. Moje plany zrealizowały się dzięki pomocy i współpracy wszystkich członków rodziny. Bez żony Grażyny i naszych dzieci nie byłoby „Impulsu”.

Redakcja „Echa” gratuluje Państwu Grażynie i Maciejowi Wojtasom trzydziestu lat działalności i życzy kolejnych lat rozwoju i sukcesów.

Ilona Machowicz –Jurowicz
Fotografie: arch. firmy „IMPULS”



„Przejdą nasze imiona w dniach nowych, jasnych i ciemnych,
Młodsze silniejsze ramiona podejmą nasz trud codzienny.
A po nas tylko zostanie coś, co zawsze powraca.
Wielkie, największe kochanie i prosta, najprostsza praca.”
(Edward Szymański)

Wspomnienie o Stanisławie Drożdżaku

13 czerwca br. odszedł na zawsze mieszkający w Sosnowcu nasz serdeczny kolega i przyjaciel Stanisław Drożdżak, absolwent Liceum Ogólnokształcącego w Limanowej z 1951 roku.

Dołączył do dużej grupy Orkanowców, którzy już tam wysoko na niego czekali. Z dwóch klas przystępujących do matury w wymienionym roku liczących w sumie 56 uczniów pozostało jeszcze przy życiu 11 osób rozsianych po świecie.

Stanisław Drożdżak urodził się w 1932 r. w miejscowości Lipowe. Początek jego przygody szkolnej zbiegł się z wybuchem II wojny światowej.

Limanowska „Jedynka” czekająca na swoich uczniów musiała tym razem przyjąć żołnierzy niemieckich i „gościć” ich przez ponad 5 lat. Dlatego przez te wszystkie złe lata polskie dzieci pobierały naukę w różnych najczęściej nieodpowiednich do tego celu lokalach. Liczyło się jednak to, że w ogóle mogły się uczyć.

Stanisław kończył właśnie szóstą klasę, gdy Polska była znów wolna, a w Limanowej otwarto pierwsze w historii miasta Prywatne Gimnazjum i Liceum. Od września 1945 r. już do niego uczęszczał.

Był bardzo rzetelnym i zdyscyplinowanym uczniem, szczególnie uzdolnionym w zakresie przedmiotów ścisłych. To on z grupą kolegów mających „smykałkę” matematyczną zorganizował pierwsze

w historii szkoły kółko matematyczne. Był to rok 1947.

Członkowie kółka spotykali się raz w tygodniu z wychowawcą a zarazem profesorem matematyki p. Józefem Staniszewskim, rozwiązywali zadania i prowadzili dysputy i spory na interesujące ich tematy. Stanisław układał też samodzielnie zadania, podrzucał je kolegom i wysyłał na konkursy.

Staszek, zwany czasem przez kolegów Bolkiem, był pełnym życia i wigoru młodym człowiekiem. Bardzo koleżeński, „z burzą rozwianych włosów” i poczuciem humoru starał się, by w całym zespole panowały dobre, przyjazne układy. Chętnie pomagał słabszym kolegom w nauce, a na półmetku szkoły średniej wymógł na nas zobowiązanie, że „całą paczką” dojdziemy do matury wzajemnie sobie pomagając i to w zupełności się powiodło.



Stanisław Drożdżak z żoną Wandą i synem Zbigniewem - 1974 rok.

Bardzo pragnął, by zaraz po zdaniu matury podjąć studia w AGH, ale los chciał inaczej. Pod koniec nauki w szkole średniej niespodziewanie stracił ojca.

Odszedł, pozostawiając gromadkę dzieci. W tej sytuacji Stanisław postanowił odsunąć plany edukacyjne na pewien czas, by zdobyć jakieś fundusze potrzebne na rozpoczęcie studiów. Podjął pracę zarobkową i z rocznym opóźnieniem, zdawszy celująco egzamin wstępny, dostał się na górnictwo w krakowskiej uczelni.

Chcąc osiągnąć wysoką średnią ocen, nauce poświęcał każdą wolną chwilę, bo tylko to gwarantowało otrzymanie stypendium w następnym roku akademickim i rozwiązanie podstawowych problemów finansowych. Od nauki odrywał się tylko wówczas, gdy posiadane zasoby finansowe gwałtownie zmalały i trzeba było biec na dworzec towarowy, by zarobić kilkadziesiąt złotych przy rozładunku wagonów z węglem lub innym kruszywem. Warto dodać, że ta praca także „nie czekała”, gdyż chętnych było wielu.



Pierwszy zjazd maturalny - 1956 rok. Stanisław Drożdżak (4. z lewej) pośród koleżanek i kolegów rocznik matury 1951.



Dziesięciolecie matury (rocznik 1951). Przed głównym wejściem do budynku liceum profesorowie (siedzą) i absolwenci.

Na szczęście w drugim roku studiów otrzymał niewielkie stypendium (300 zł) i doliczywszy do tego małe „kieszonkowe” otrzymane od matki i trochę żywności, dawał sobie radę. Nigdy nie narzekał, bo uważał, że „narzekanie to dodawanie większego zła do mniejszego.”

Z bardzo dobrym wynikiem ukończył studia i na pierwszy koleżeński zjazd w 1956 r. przyjechał do Limanowej z dyplomem inżyniera. Miał nawet propozycję objęcia etatu asystenta na jednym z wydziałów AGH, ale odmówił, bo wymagania były duże, a wynagrodzenie zenująco niskie.

Śląsk potrzebował fachowców, ku sił dobrymi warunkami finansowymi i mieszkaniami, dlatego młodzi ludzie długo się zastanawiali i chętnie podpisywali umowy. Podobnie uczynił „nasz” Staszek. Wybrał Fabrykę Lin i Drutu w Sosnowcu. Zaraz po studiach zawarł związek małżeński z farmaceutką pochodzącą z Dąbrowy Górniczej i tak zaczęło się ich wspólne bardzo udane życie.

W pracy szybko zyskał uznanie, był pracowity, rzeczowy, odpowiedzialny koleżeński i chętny do współpracy. Poza tym bardzo leżało mu na sercu dobro zakładu. Chciał wiele rzeczy usprawnić, poprawić, by wykonywane produkty miały lepszy zbył. Cieszył się, że Dyrekcja zakładu docenia jego starania i popiera wysiłki. Kolejne lata pracy, zdobywane

doświadczenie, ciekawe pomysły zaowocowały kolejnymi awansami.

Na koleżeńskich spotkaniach często opowiadał o swoich zawodowych sukcesach, ale także i o niepowodzeniach.

– Wszystko byłoby dobrze, bo życie człowieka nie składa się tylko z sukcesów – mówił – tylko powietrze na Śląsku fatalne. Inni tego nie czują, bo się tam urodzili i nie mają porównania, a ja się tam duszę. Dlatego jak tylko mogę chciałem na krótko się wyrwać, wpadam do Limanowej.

Limanowa i jej okolice były dla niego najpiękniejsze.

Miał jedno wielkie marzenie. Pragnął wybudować na jednym najpiękniejszym wzniesieniu skromny, całoroczny dom, bez większych wygód, do którego mógłby przyjeżdżać w każdej wolnej chwili. Patrząc na piękny krajobraz i oddychać, oddychać tym świeżym, „prawdziwym powietrzem”.

Zarabiał nieźle, ale nie na tyle, by móc sobie pozwolić na taką budowę, a zadłużyć się nie chciał.

Wydatki wzrosły, bo na świat przyszły dzieci – syn i córka, które bardzo szybko stały się nastolatkami, a potem studentami.

W biegnącym coraz szybciej nurcie życia składającym się głównie z dwóch elementów – PRACA – RODZINA coraz rzadziej wracał myślami do wymarzonego domu.

W Polsce zaczynały się zmiany na gorsze i trzeba było walczyć o utrzymanie kondycji zakładu pracy. Stanisław należał już wówczas do ścisłej kadry kierowniczej i pracował nad kolejnym pomysłem racjonalizatorskim, który miał podnieść pozycję fabryki i przynieść dodatkowe zyski.

Efektom kilkumiesięcznej ciężkiej pracy umysłowej, po wielu próbach i doświadczeniach było wyprodukowanie nowych, długotrwałych, wytrzymałych i bezpiecznych lin wyciągowych. Ich zastosowanie gwarantowało duże oszczędności budżetowe i zapobiegało częstym przerwom remontowym. Nazwisko Stanisława Drożdżaka było w macierzystym zakładzie odmieniane przez wszystkie przypadki. Kopalnie złożyły tyle zamówień na nowe liny, że fabryka nie nadążała z ich realizacją. Do budżetu wpłynęły spore zyski.

Wynalazca otrzymawszy niewielką nagrodę, (obiecano więcej), dodał własne oszczędności, kupił niewielką parcelę pod Łysą Górą i wybudował piwnice pod wymarzony domek.

Wynalazek polskiego inżyniera opatentowano i wydano mu świadectwo autorskie. Gdzieś w innym kraju mógłby sam decydować o losach swego wynalazku. Zezwalać na jego wykorzystanie i mieć z tego tytułu określone zyski. Niestety, ówczesny ustrój na to nie pozwalał.

Opatentowany, nowatorski pomysł produkowania lin wyciągowych został sprzedany Hiszpanii. Macierzysty zakład pracy wydelegował Stanisława do tego kraju, by pomógł wybranej kopalni w montażu urządzenia i rozpoczęciu produkcji lin. Hiszpanie gratulowali mu świetnego pomysłu i byli pewni, że otrzymał za niego odpowiednią gratyfikację. Nie mógł nic na ten temat ze zrozumiałych względów powiedzieć, a zresztą ciągle jeszcze wierzył w dobry „ciąg dalszy”. Za kilka miesięcy pracy „zagranica” zapłaciła mu przyzwyczajenie za pomoc, ale na tym pasmo sukcesów się skończyło.

Po powrocie do kraju otrzymał podziękowanie – duży dyplom, mocny uścisk dłoni i małą kopertę z jeszcze mniejszą kwotą. Marzenia o domku „pod górą” odrzucił, tym razem za zawsze.

My, stara paczka z dawnych lat, nie pytaliśmy Go nigdy o tę przykrą sprawę. Sam o tym przez wiele lat nie mówił ani nam, ani swojej rodzinie. Nie mógł, bo mogło się to dla niego źle skończyć.

Otworzył się dopiero po roku dwutyśiecznym. Podobno wynalazek zaliczono jako zlecenie jednostki gospodarki państwowej, a jako takie stało się własnością państwa. Stąd prawo do patentu i korzyści płynących z jego wykorzystania miało tylko państwo. To wyglądało tak jakby urzędnikowi zlecić jakieś zadanie, a on musi je wykonać, bo to wynika z zakresu jego obowiązków. Tyle tylko, że Stanisławowi nie zlecono tego zadania. Pomysł był jego i pracował nad nim w domu, a gdy był gotowy, szczęśliwy, że się udało, przyniósł całą dokumentację i zapoznał z nią Dyрекcję. Reszta potoczyła się sama niezależnie od projektanta.

Rozżalony inżynier, wiedząc że sprawy nie wygra, po 25 latach pożegnał dawny zakład pracy i przeniósł się do bardzo oddalonej od Sosnowca kopalni. Miał wrażenie, że pozbyto się go z ulgą. Nie był już potrzebny.

Sporo czasu tracił na dojazdy, ale wolał to, niż codzienne spotkania z ludźmi, którzy go skrzywdzili.

Dzieci dorosły, założyły własne rodziny, na świat zaczęły przychodzić wnuki. On z żoną przeszli na emeryturę. Wybudowane podpiwniczenie przykryli dachem i uzyskali w ten sposób niewielkie pomieszczenia, w których latem mogli mieszkać. Przyjeżdżali w każdym roku, by wypocząć, podziwiać krajobraz i „wentylować” płuca.



Przed ołtarzem w kościele w Limanowej. Stoją od lewej: Teodor Sroka, Stanisław Drożdżak, Zofia Wiśniewska, Mieczysław Sulkowski, ks. Adam Wątroba, Jan Dudek, Halina Wierzycka, Waleria Milewska - 2006 rok.

Staszek czekał na „lipcowe” spotkania z nami Orkanowcami, by odświeżyć wspomnienia, porozmawiać o bieżących sprawach, wydarzeniach rodzinnych i zgodnie ze swym zwyczajem pożartować.

Potem zapraszał nas do siebie „pod górę” do swej, jak mówił – willi – na rybkę. Panowie korzystali, panie wołały zostać same i kontynuować własne rozmowy.

Pod koniec sierpnia wracał „do siebie” na Śląsk przed wyjazdem prosząc, by o nim nie zapominać, telefonować, pisać. Nam starszym już osobom pomagał, gdy było trzeba, sprowadzać z Niemiec leki lub różne drobiazgi ułatwiające pracę w domowym gospodarstwie. Miał bowiem wielu znajomych mieszkających za zachodnią granicą. W Sosnowcu spotykał się z kolegami inżynierami w Klubie Seniora. Dyskutowali, opracowywali małe udoskonalenia dla „domu”, czytali prasę i byli zadowoleni, że po wytężonej pracy doczekali się spokojnej starości.

Ustabilizowane życie na emeryturze przerwała długoletnia, nieuleczalna choroba żony.

Jego oddanie i opieka nad najbliższą osobą dowiodły, jakim wartościowym i odpowiedzialnym człowiekiem był Stanisław.

Choć z biegiem czasu choroba żony postępowała i z każdym dniem było coraz gorzej, mimo nacisków otoczenia, nie oddał jej do zakładu dla nieuleczalnie chorych. Zawsze podkreślał, że była wspaniałym człowiekiem, najlepszą żoną matką i gospodynią.

Mówił: „Ślubowałem jej na dobre i na złe, obiecałem pomoc w zdrowiu i chorobie przez całe małżeńskie życie

od początku, aż po kres i tego dotrzymam”. Dotrzymał.

Po odejściu żony żył jeszcze parę lat. Zachował swoje mieszkanie w Sosnowcu. Dzieci i dorosłe już wnuki często go odwiedzały. Nadal w każdym roku był w Limanowej w swym królestwie „pod górą”.

W ciągu 65 lat od matury (tak długo trwały nasze zjazdy) nie opuścił żadnego z koleżeńskich spotkań. To my wiedzieliśmy często o nim więcej niż najbliższa rodzina, której nie chciał obarczać swoimi troskami.

Przez ostatnie 3 lata kontaktował się z nami tylko telefonicznie lub listownie. Nie zapominał o naszych imieninach i świętach.

Jeszcze w zimie zapraszał nas „ostańców” na letnią wizytę u niego „pod górą”. Obiecywał, że każdego osobiście podwiezie.

Niestety nie było to nam pisane. Odszedł, pozostawiając żal i zadumę.

Spotkamy się w innym wymiarze, w którym nie liczy się czasu i nie ma bólu.

Żegnaj Zacny Kolego, Wierny Druhu, Serdeczny Przyjacielu.

Dziękujemy Ci za to, że starałeś się pokazać nam ŚWIAT z jego lepszej strony, że potrafiłeś tchnąć w nas ducha optymizmu, z którym łatwiej żyć.

Pozostaniesz w naszej pamięci jako wzór PRAWEGO CZŁOWIEKA.

**Koleżanki i Koledzy Orkanowcy
Absolwenci LO z 1951 r.**

**Fotografie: arch. Zofii Wiśniewskiej
i rodziny Drożdżaków**

Kapliczka Jońców „Pod Lipami”

Stanisław Ociepka

Kapliczki są mocno splecione z polską kulturą i obyczajowością. Zawsze były miejscem ważnym dla lokalnych społeczności. Kiedyś budowane na skrajach miast i wsi, dziś stoją w ich centrum. Pozornie wydaje się, że ich czas minął, nikt przy nich nie zatrzymuje się, nikt nie zwraca na nie uwagi. Jednak kwiaty ozdabiające figurę, świeży tynk, przystrzyżona trawa, płonące lampiony, ład i porządek wokół nich są dowodem, że one żyją w sercach miejscowej społeczności.

Szczególnie ożywia się wokół nich w miesiącu maju. Podróżni przemierzający w majowe wieczory drogi Beskidu Wyspowego nie mogą nie zauważyć ludzi śpiewających pieśni maryjne wokół przydrożnych kapliczek.



Rodzina Jońców. Siedzą: Agata i Wojciech, pomiędzy nimi wnuk Grzegorz. Stoją od lewej: Aniela Joniec (Borysiuk), ks. Józef Joniec, Zofia i Jan Joniec, Józefa Joniec (Krasuń).



Na polach Jońców (dziś cmentarz komunalny) w głębi przy lipach po prawej widoczna kaplica



Przed rodzinną kapliczką stoją Stanisław Krasuń z żoną Józefą - lata międzywojenne.

W jednym z licznych artykułów opisujących limanowskie kapliczki w „Echu Limanowskim” Antoni Mamak tak o nich napisał: *O, wy, nasze kapliczki, figury i krzyże, tak licznie rozsięte po polskiej ziemi, jesteście wrośnięte nieodłącznie w nasz krajobraz. Okazałe i skromne podupadłe, pochylone przez wichry czasu. Ile w Was piękna i zadumy. Wszystkie jesteście świadkami licznych historycznych wydarzeń i ludzkich losów. Postawiono was z potrzeby serca albo jako wotum wdzięczności za otrzymane łaski.*

Często motywem w twórczości artystycznej Tadeusza Ociepki znanego malarza limanowskiego były przydrożne kapliczki. Jego prace w tym zakresie ukazane zostały w „Galerii Tadeusza Ociepki” w cyklu artykułów jego córki Małgorzaty Palińskiej opublikowane

w 2003 roku w „Echu Limanowskim”. Wiele artykułów o tej treści prezentowali na łamach naszej lokalnej gazety, dr Józef Szymon Wroński i Jan Wielek.

Dziś powracamy raz jeszcze do tego zagadnienia, bowiem na stronach limanowskich portali Internetowych można było przeczytać: *Samorząd województwa po raz kolejny zdecydował o wsparciu renowacji zabytkowych kapliczek z całej Małopolski. Dzięki przyznanym dotacjom z budżetu wojewódzkiego uda się uratować 64 przydrożne krzyże i figury – 6 z nich znajduje się na Limanowszczyźnie. W Porąbce, gmina – Dobra, Szczyrzycu – gmina Jodłownik, Roztoce – gmina Łukowica, Zawadce – gmina Tymbark, Sowlinach – gmina Limanowa (odnowienie i konserwacja kapliczki przydrożnej na osiedlu „Biedówka”) oraz w Limanowej*

(kapliczka na cmentarzu komunalnym, Jońców – „Pod Lipami”). Szacowany koszt renowacji tej kapliczki wynosi ok. 10 tys. złotych, z czego 5 tys., będzie pochodziło ze środków zewnętrznych.

Jaka jest historia limanowskiej kapliczki?

Kapliczka zlokalizowana jest na dawnych polach Jońców w pobliżu tak zwanych „krzaków rusinowskich”. Po wywłaszczeniu tego terenu obecnie mieści się tu cmentarz komunalny.

W artykule Józefa Szymona Wrońskiego, zatytułowanym „Szlakiem limanowskich Kaplic” w „Echu Limanowskim” nr 108 z września 2003 roku możemy przeczytać: *Kaplica wzniesiona ok. 1920 r. w miejsce starszej, ufundowana została przez Agatę i Wojciecha Jońców.*

Jest to kaplica założona na rzucie prostokąta, murowana, otynkowana, z dachem dwuspadowym, pokrytym dachówką. Trójkątny szczyt zaakcentowany został trzema sterczynami, a wyraźne cechy stylistyczne – neogotyckie: podkreślają wejście, okno i wnękę w szczycie o łuku ostrym. W drzwiach kaplicy umieszczone są ozdobne kraty, a witraże pochodzą z Zakładu Szklarskiego limanowskiego szklarza, Wojciecha Kaima.



Współczesny wygląd kapliczki Jońców. Po lewej Figura Matki Boskiej Fatimskiej, ufundowana przez ks. Józefa Jońca. Po prawej u góry: krucyfiks pochodzący z XVIII w. umieszczony w kaplicy przez ks. Jońca. W kaplicy znajdował się do 1960 r. (obecnie w zbiorach prywatnych.). Po prawej na dole: pamiątkowa tablica.

KAPLICA UFUNDOWANA W 1925 R.
PRZEZ AGATĘ I WOJCIECHA JOŃCÓW
POŚWIECONA PRZEZ KS. PRALATA
K. LAZARSKIEGO

Wewnątrz kapliczki znajduje się figura Matki Boskiej Fatimskiej, wykonana według włoskiego pierwowzoru, ufundował ją jako wotum ks. Józef Joniec za szczęśliwy powrót z kampanii wojennej z ziemi włoskiej do Polski.

Według relacji p. Marii Kazimierczak, wnuczki Agaty i Wojciecha Jońców, kapliczka zbudowana została w roku 1925, którą 2 października tegoż roku poświęcił ks. Kazimierz Łazarski ówczesny proboszcz limanowski, budowniczy świątyni w Limanowej.

Z opowiadań p. Marii wynikało, iż kapliczka miała charakter dziękczynny, bowiem w roku 1925 swą prymicyjną Mszę św. odprawił w kościele limanowskim ks. Józef, syn Agaty i Wojciecha, wuj Marii Kazimierczak.

Po powrocie z wojennej kampanii w roku 1948, ks. Józef Joniec, kapelan polskich żołnierzy walczących pod Tobrukiem i Monte Cassino, umieścił w kapliczce ufundowaną przez siebie wspomnianą

figurę Matki Boskiej Fatimskiej, zastępując wcześniej porcelanowy wizerunek Chrystusa ukrzyżowanego, adorowanego przez dwa anioły.

Kim była rodzina Jońców?

Wojciech i Agata z domu Ryś, Joniec należeli do zamożnych gospodarzy Limanowej. Posiadali znaczne pola uprawne na tzw. „Dziółach limanowskich”, nadto rejonie obecnej ul. Słonecznej oraz za Potokiem Starowiejskim obecnie rejon cmentarza komunalnego. Ich drewniany rodzinny dom, znajduje się pod stacją kolejową i istnieje do dziś, ma 114 lat.

Agata i Wojciech Joniec mieli pięcioro dzieci: dwóch synów Józefa i Jana oraz trzy córki Marynię, Józefę i Anielę. Józef, kapłan pułkownik, kapelan WP, uczestnik I i II wojny światowej, proboszcz w Balinie, w Woli Justowskiej pod Krakowem i w Oświęcimiu, („EL” nr 147 z grudnia 20006 r.). Jan współwłaściciel pierwszego prywatnego autobusu

kursującego na linii Limanowa – Kraków w latach trzydziestych XX wieku, więzień obozu koncentracyjnego Auschwitz, zamordowany w 1943 roku. Jan miał dwóch synów Grzegorza i Narcyza. Marynia zmarła we wczesnym dzieciństwie. Aniela z Jońców Borysiuk była nauczycielką, zmarła w bardzo młodym wieku. Józefa z Jońców Krasuń, żona Stanisława Krasunia znanego i szanowanego sędziego Sądu Grodzkiego w Muszynie i w Limanowej, po II wojnie adwokat („EL” nr 224 – 225 z maja i czerwca 2013 r.). Krasuniowie mieli dwie córki Danutę i Marię.

Przez wiele lat tą śródpolną świątynią „Pod Lipami” opiekowały się kolejne pokolenia rodziny Jońców, a obecnie pozostaje ona w zarządzie gospodarza cmentarza komunalnego.

Fotografie: arch. rodziny Jońców, Stanisław Ociepka

A jednak Sowlinka

Po ukazaniu się w majowo-czerwcowym numerze „EL”(272-273) artykułu pt. „Sowlinka, rzeka wspomnień”, dotarło do redakcji i do mnie osobiście, wiele dodatkowych informacji, jak też zapytań. Postaram się wyjaśnić kilka poruszanych w tym artykule wątków. Rozpocznę od zasadniczego: Sowlinka czy Sowlina? Otóż ku mej radości, podczas wycieczki z redaktorem „EL” brzegiem tej rzeki, na przebiegającym nad nią moście drogowym czytamy dumną tablicę „SOWLINIANKA”. Wbrew geografom i kartografom, uszanowano naszą miejscową, tradycyjną nazwę rzeki. Chyłę czoła i „chapeau bas” – czapki z głów przed zacytowanymi drogowcami. Drażąc temat w limanowskim Nadzorze Wodnym, dotarłem do rozporządzenia Rady Ministrów w sprawie klasyfikacji śródlądowych dróg wodnych dopuszczającego drętym językiem administracyjnym, używanie obu imion tej rzeki tj. bliższego naszym sercom „Sowlinka”, a dla niezwiązanych z nią emocjonalnie „urzędasom” niechaj będzie „Sowlina”. Przypomina to galimatias z osobą dwojga imion jak w moim przypadku. Mamusia wybrała Mareczek a tatuś Januszek. Tatuś zarejestrował w urzędzie kolejność po swojemu, ale mamusia wołała po swojemu i jej głos zadecydował. Zostałem Markiem, ale w papierach Januszem. Taka sama kołomyja była z imionami starszego brata Leszka – Krzyśka.

Wracam do tematu.

Sowlinka – rzeka czy potok?

Drugi problem Sowlinki – pozostała rzeką czy też została zdegradowana do roli potoku? Od pokoleń to zlewnia potoków Mordarki i Starowiejskiego tworzyła początek biegu rzeki Sowlinki i był święty spokój. We wszystkich wspomnieniach od czasów galicyjskich poprzez XX-wieczne międzywojnie i po wojnie Sowlinkę tytułowano zawsze rzeką. Jak myślę nie bez przyczyny. Jej wartki nurt toczył swe wody otoczone szeroko rozległym, jedynie okresowo zalewanym, kamienistym korytem rzeczonym, co doskonale przedstawiają stare fotografie. Dopiero gdy przy ciekach wodnych zaczęli grzebać jacyś naukowcy (hydrodzy i hydrografowie), usiłując w prawie wodnym ustalić sztywną definicję rzeki, uzależniając od niewidocznych dla laika pomiarów – powierzchni zlewni powyżej 100 km², przepływu wód przy ujściu w m³/sec, a jeszcze przyujściowej szerokości koryta itd., itp., nasze dawne określenie rzeki Sowlinki przestało być już tak oczywiste.

Dzisiaj na tablicy drogowej mostu nazwę rzeki poprzedza literka „p” – POTOK. Spoglądając na widok rozciągający się po obu stronach tego mostu, trudno z tym faktem dyskutować. To co pozostało z dawnej rzeki nawet poniżej mostu w Sowlinach, już jej nie przypomina. Brzegów co prawda na tym



odcinku nie zabetonowano, powstrzymano też agresywną erozję denną rzeki wywołaną niefrasobliwie przeprowadzoną jej „regulacją” w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Jej leniwy nurt toczy nieśmiało swe wody wśród zarosniętego chwastem, dawniej okresowo zalewanego lecz zawsze obecnego, rozległego kamieńca okrągłych otoczków piaskowca. To różni naszą dawną rzekę wspomnień od obecnego, nędznego potoku. Podejmowane są co prawda w ostatnich latach za unijną „kasę”, nieśmiało próby ratowania dawnych górskich potoków na Podhalu pod obrzydliwie

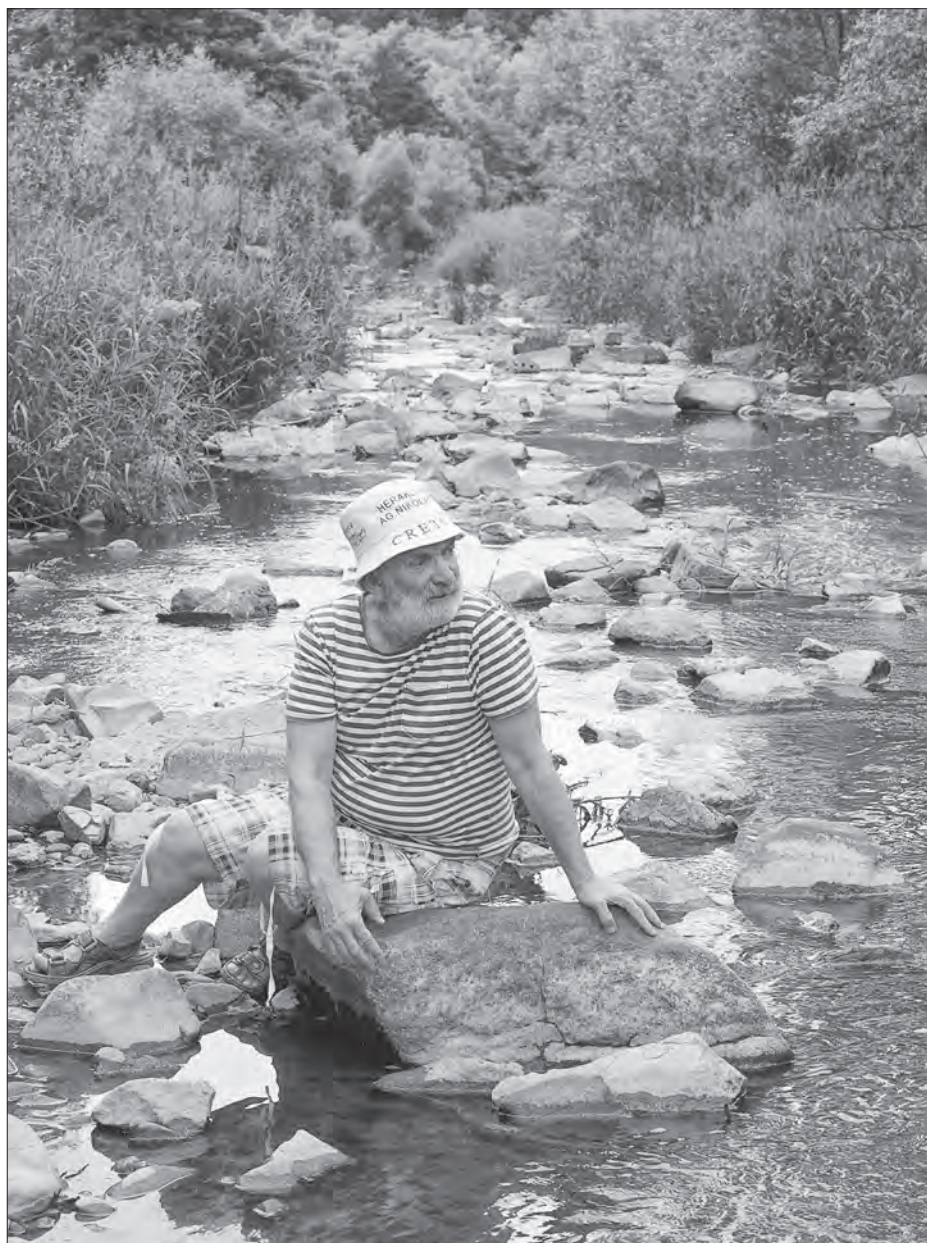
brzmącym hasłem „renaturyzacja cieków wodnych”. Już sama definicja przestrzega przed radosną twórczością dawnych hydrotechników „renaturyzacja to przywracanie uprzednio uregulowanej rzecze stanu zbliżonego do naturalnego”. W miejsce betonowych progów i stopni wprowadzane są kamienne brody i kamienne bystrza, nieprzerwywane ciągłości biologicznej. Do łaski powracają również dawne metody zabezpieczenia brzegów drewniano – kamiennymi kaszycami i ostrogami. Renaturyzacja Sowlinki na pewno nam „nie zagraża” i pozostanie już na wieki potokiem. Aby poznać czy też przypomnieć sobie jej dawny, jeszcze rzeczny urok zapraszam wrócić do przeszłości.

Sowlinka zimą

Wbrew pozorom rzeka naszego dzieciństwa sprawiała nam wiele radości również zimową porą. A zimy lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych były jeszcze długie, śnieżne i mroźne. Mróz i woda z Sowlinki zapewniały nieograniczony dostęp do lodu. Lód rzecz jasna to łyżwy. O wyprawach lodowym torem Sowlinki wspomnę później. W tamtych odległych czasach nikomu jeszcze nie śniły się rozrywki internetowe. Czarnobiałe, naziemny i jedyny program TVP zaczynał w Limanowej raczkować dopiero około roku 60. W Sowlinach, ►

▶ na obu szkolnych boiskach wylewano zimną lodowiska, ogrodzone śnieżnymi bandami. Jedno przy LO z ówczesną podstawówką „dwójką”, a drugie, solidniejsze, za budynkiem LP z ówczesną „ćwiczeniówką”. Tam zaczynaliśmy stawić nasze pierwsze kroki łyżwiarskie. Woda z Sowlinki tłoczona bez ograniczeń porafineryjnym rurociągiem nic nie kosztowała. Pamiętam, że późnymi wieczorami nasz szkolny woźny Jamróż dolewał zawsze jej świeżą porcję, która do rana zamarzała na „szklankę”. I tak przez całą zimę. Sowlinka wody nie żalowała, a warstwa lodu rosła. Wiosną, gdy wokół lodowiska zakwitały wśród traw pierwsze kwiatki, prostokąt grubej warstwy lodu jeszcze długo nie chciał ustąpić. W takiej scenerii, wśród wytopionych kałuż uprawialiśmy nasze łyżwiarskie zmagania dokąd się dało, bez mała do ostatniego skrawka lodu. W tych powojennych czasach, dostępne dla naszych dziecięcych, ale dzielnych nóżek łyżwy, sprawiały wiele utrapień naszym rodzicom. Przykręcało się je specjalnym kluczykiem „na żabki” do zimowych bucików codziennego użytku. Przednie żabki obejmowały podeszwę buta, tylne jego obcas. „Lepszy” model łyżew zamiast na tylne żabki, wpinało się do obcasów przez wkręczone do nich na stałe żelazne „blaszki”. Na szczęście wszystkie ówczesne zimowe buty miały oryginalne skórzane podeszwy i choć z trudem, wytrzymały jakiś czas nasze łyżwiarskie popisy. Niestety, ku zgryzocie dorosłych, w ciągu jednego sezonu łyżwiarskiego, zmuszone były kilkakrotnie odwiedzać warsztat szewski. Współczesne buciki nie przetrwały by nawet pierwszej próby przykręcenia „na żabki” naszych starych, siermiężnych łyżew. Chłopcy preferowali łyżwy „szpicaki”, a dziewczynkom przysługiwały pseudo – figurówki z zaokrąglonym na zębaty dzióbkiem.

Mój ojciec był także zapalonym łyżwiarzem. Po jego śmierci odnalazłem figurówki, które używał po wojnie na wielkim zamrzniętym zbiorniku wyrównawczym wody przemysłowej czerpanej z Sowlinki, ukrytym wśród zarośli na ogrodzonym terenie CPN. O tajemniczych, już solowych, powojennych występach łyżwiarskich ojca dowiedziałem się po latach od matki kolegi, Krystyny Talar. Podpatrzyła z koleżankami, że po pracy często zamykał biuro i z łyżwami przerzuconymi przez



Marek Pankiewicz nad Sowlinką - lipiec 2017 rok. Fotografia: Stanisław Ociepka

ramię zniknął przy zamrzniętym, rafineryjnym stawie, a one skradały się w ślad za nim i cichutko zza krzaków podziwiałły występy mego ojca. Nie zorientował się nigdy, że miał widownię. Przechowuję te pamiątkowe przedwojenne figurówki ojca już bez butów do dzisiaj.

Ruch samochodowy zimową porą zamierał prawie całkowicie. Na drogach do centrum Limanowej, których niczym nie posypywano, królowały chłopskie sanie zaprzężone najczęściej w jednego, podkutego „na ostro”, wesoło pobrzękującego dzwoneczkami konika. Oczywiście, do szkoły jeździliśmy na łyżwach, często czepiając się tych sań. Nie raz i nie dwa oberwałem za to przez łeb chłopskim batem. Na szczęście zimową porą chroniły nasze główki wełniane grube czapki. O wiele większe emocje sprawiało nam

czepianie się tylnej burty nielicznych samochodów ciężarowych, powoli wspinających się na okutych łańcuchami kołach, pod górę obok Kociego Zamku, skąd powrót na łyżwach do doliny Sowlinki był równie niemałą atrakcją. Co kilka dni w tych „zajechanych”, szerokich płozach łyżew, ostrzył nam głębokie rowki kowal Czaja. Usługa gratis!, należało tylko ustąpić kolejki podkuwanym koniom i spokojnie odczekać na jej wykonanie w atmosferze swądu przypalanych końskich kopyt. Żadne współczesne łyżwy hokejowe, figurowe czy też panczeny do jazdy szybkiej, nie zdzierżyłyby nawet ułamka tortur, którym musiały sprostać pod naszymi małymi nóżkami niezapomniane „szpicaki”.

Ale największą łyżwiarską frajdę i niezapomniane wrażenia sprawiała

nam zamarzająca z początkiem zimy Sowlinka. Wyczekiwaliśmy tej chwili z utęsknieniem, choć nie zawsze sprzyjała jej kolejność nadciągających warunków atmosferycznych. Pożądany scenariusz zdarzeń wymagał początkowych obfitych opadów śniegu a następnie siarczystego mrozu, skuwającego wzdłuż nurtu rzeki lodową wstęgę bajecznego toru łyżwiarskiego. Ślizgawka wśród białych ośnieżonych brzegów Sowlinki aż do Łososiny i z powrotem pozostawiła niezatarte nawet po półwieczu wrażenia. Mimo że przekraczając powalone pnie drzew, okryte puchową pierzynką śniegu, moczyliśmy czasem nogi, nie traciliśmy łyżwiarskiego zapału, choć zamarznięte na sztywno portki łamały się w kolanach.

Podczas kolejnych łyżwiarskich wypraw już ostrożniejsi, wystrzegaliśmy się tych wodnych pułapek. Niestety, te przygody zazwyczaj nie trwały długo. Przerywał je najbliższy opad śniegu, pokrywający swą warstwą nasze lodowate szczęście Królowej Śniegu z bajki Andersena. Jednego, niezapomnianego zjawiska do dzisiaj nie potrafię sobie wytłumaczyć, nawet inwersją temperatury. Otóż podczas jednej z pierwszych wypraw łyżwiarskich, lodowy szlak Sowlinki zniknął nagle w śniegach rzeki Łososiny, jak afrykańska rzeka Okawango w piachach Kalahari.

Nadchodzi wiosna. Coraz cieplej. Najwyższa pora wybrać się na ryby.

Sowlinka i ryby

W poprzedniej gawędzie o Sowlince („EL”, nr 272 – 273) wspominałem co nieco o kłusownictwie. Ten naganny proceder łowienia „na rękę” uprawiali wraz ze mną (tu biję się ze wstydu w piersi) nieliczni kolesie, którzy oddali tej rzece bez reszty swe serca i dusze. Można śmiało powiedzieć, że wychowaliśmy się w jej nurcie i coś się nam w zamian przy odrobinie smykałki od Sowlinki należało. Oto dalszy ciąg usprawiedliwień. Broń Boże nie skłaniał nas do tego głód. To raczej brak możliwości legalnego nabycia przez rodziców takiego smakowitego rarytasu – pstrąga czy jelca. Nawet w „Konsumie”, czynnym od międzywojnia, największym w powiecie odpowiedniku dzisiejszych marketów, niedostępna była nie tylko świeża surowa, czy nawet jakakolwiek mrożona ryba. Przy drzwiach królowały „od zawsze” dwie podśmierdujące beczki solonych, niepatroszonych śledzi.



Leniwy nurt Sowlinki - 2017 r.



Naturalny brzeg Sowlinki. Wędkuje Leszek Pankiewicz - 1956 rok.

► Lokalizacja nieprzypadkowa – bliżej świeżego powietrza. Od czasu do czasu trafiały na sklepową ladę skrzynki wędzonych dorszy, bohaterów dziecięcej rymowanki „jedźcie dorsze! g...gor-sze!” Jedynie raz w roku, przed świętami Bożego Narodzenia, przybywała wyczekiwana z utęsknieniem dostawa „żywego karpia!” Stąd też ta świeża rybka z Sowlinki była pożądanym uzupełnieniem diety.

Nasze rybackie wyprawy nie były zaplanowane, ale spontaniczna zamiana nudzącej kąpieli w coś wzbudzającego więcej emocji na rzucone ni stąd, ni zowąd hasło „a może byśmy coś złapali?” Ale w czym dostarczyć łupy мамie do domu na kolację? Nad rzekę chodziliśmy w samych majtkach. Bez koszul i butów, bo po co nosić później w rękach zbędne manele? Tu pomogła mi ostatnia lekcja rybackiego wtajemniczenia udzielona przez brata mamy, wuja Edzia Hermanowicza. Gdy ukończyłem 6 lat odwiedził nas w Sowlinach ze starszym synem i zabrał obu na wycieczkę po Sowlince. Wychowanego na podwileńskim pojezierzu również u nas podkusiły pluskające rybki. Ułamał wierzbową gałązkę i fachowo usunął zbędne pędy zostawiając na dole jeden krótki odrost. Wysła sprytna „haczka”, na którą można było nanizac przez jedno skrzele i pysk ładny wianuszek ryb. Stąd też w późniejszych latach radziłem sobie z własnymi połowami bez trudności. Niestety, transport raków wymagał tradycyjnego worka, torby czy też starej poszewki na poduszkę.

Ale gdzie są ryby z tamtych lat? – *czas zatarł ślad(...)* kusi odpowiedzię słowami Sławy Przybylskiej. Bardzo śmieszą mnie zasłyszane rewelacje „jakie to wielkie ryby pływają w Potoku Starowiejskim i Sowlince”, a już kompletnie załamują przechwałki na jednym z limanowskich portali internetowych, prezentujące schwytanego na wędkę pstrąga tęczowego.

Wiadomo, że ta amerykańska przybłęda hodowlana nie dotarła do Limanowej z Łososiny przez ujście Sowlinki jej naturalnym nurtem, który to niegdyś pokonywały nasze rodzime endemiczne pstrągi potokowe. Przybyła do którejś betonowej niecki przepływowej pod stopniem wodnym w okolicach „Siwego Brzegu” – o zgrozo!, samochodem!, w beczie!

Naturalny ciąg biologiczny wędrówki górskich ryb słodkowodnych został



Kapliczka nad brzegiem Sowlinki, przy lipie (po lewej) zniszczona w wyniku erozji brzegu w latach siedemdziesiątych XX wieku. Fotografia Zbigniewa Sułkowskiego z 1969 roku.

dawno temu zerwany. Dzisiaj wędkar-skie połowy w Sowlince przypominają polowanie na karpia w wannie czy też dziecięce wyławianie złotej rybki ze szklanego akwarium albo ze słoika.

Nadrzeczna kapliczka

Najczęściej spotykamy kapliczki przydrożne lub na rozstajach dróg. Krótka wzmianka o kapliczce zatopionej w nurtach Sowlinki wzbudziła zainteresowanie Czytelników „EL”. Nie stała przy żadnej drodze (chyba że drodze kolei żelaznej Chabówka – Nowy Sącz). Nie była kapliczką przydomową ani ogrodową. Może była kapliczką polną? Od dziecka nazywałem ją na własny użytek kapliczką rzeczną, bo stała nad moją ulubioną Sowlinką. Do redakcji „EL” dotarły jej ciekawe fotografie, które wykonał Zbigniew Sułkowski w 1969 roku. Próby odszukania fundatorów czy też opiekunów tej kapliczki na prawym brzegu rzeki (od strony rafinerii) nie dały rezultatu. Ale już wycieczka na drugi brzeg z którego to wykonano przed półwieczem fotografie kapliczki na tle słynnej ciuchci z dymiącym kominem parowozu, pozwoliła odkryć kilka tajemnic. Otóż zamieszkały przy obecnej ulicy Kamiennej pan Roman Pyrc doskonale pamięta jej znaną od dziecka sylwetkę. Miejscowi gospodarze nazywali ją potocznie „Kapliczką choleryczną”. Wzniesiono ją jako wotum dziękczynne za powstrzymanie epidemii cholery, która nawiedziła okolice z końcem XIX wieku. Ustna tradycja przechowała pamięć o ośmiu ofiarach moru, które straciły życie podczas żniw.

Otoczona opieką miejscowych gospodarzy, służyła wiernym do połowy lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Skutkiem nasilającej się od lat erozji dennej rzeki spowodowanej, „regulacją” jej górnego odcinka, nadbrzeżna, osuwająca się powoli skarpa pochłonęła kolejno nadrzeczne krzewy, następnie przykapliczną lipę, a na koniec w drugiej połowie lat siedemdziesiątych XX wieku, również zabytkową kapliczkę. Uratowano z jej wnętrza zaledwie obraz, najprawdopodobniej kopię limanowskiej Matki Boskiej Bolesnej.

Tajemniczy głaz

Odkryty u podnóża, zarośniętego krzakami, stromego brzegu Sowlinki głaz, a raczej wyryty na nim zagadkowy napis, nurtował mnie 60 lat, aż do wiosny tego roku. Już otulony porostami ukrył swą tajemnicę, wydawałoby się na zawsze, czego mu zrezygnowany szczerze życzyłem. Nagle, po ukazaniu się w „EL” (nr 272-273) gawędy o Sowlince, uchylił rąbka swej tajemnicy. Niespodziewanie otrzymałem telefoniczną informację od znajomej limanowianki. Otóż jej mamusia, wiarna czytelniczka „EL”, przed wojną panienska Ania Sułkowska, zamieszkała ówczasie „Na Dziołku” w Sowlinach (obecnie ulica Stroma) dzieciństwo spędzała podobnie jak ja, nad rzeką Sowlinką. Pamięta z tamtych czasów tenże zagadkowy kamień, jak też okoliczności jego pochodzenia. Jak wspominali okoliczni mieszkańcy, był pozostałością po kamieniołomie jeszcze z czasów budowy Rafinerii Nafty w Sowlinach, zwanym potocznie „Śtajbruchem”. Ta wiadomość

ma sens i „trzyma się kupy”. Rafineria w Sowlinach powstała jeszcze za czasów galicyjskich, a po niemiecku „Steinbruch” znaczy kamieniołom. Natomiast ten głaz miał wskazywać miejsce nieszczęśliwego zdarzenia, które zostało oznaczone wyrytym epitafium upamiętniającym tragiczną śmierć ośmioletniej dziewczynki. Przez pierwsze dni po potwierdzeniu telefonicznej wiadomości, uznałem ten przeklęty głaz za złowieszczy zwiastun najgorszych wiadomości. Zaczynałem mu zarzucać, że poza nieznaną ośmiolatką odebrał moją dziewięcioletnią, szczenięcą miłość i towarzyszkę dziecięcych zabaw – Małgosię Udzielankę. Przecież wspólnie mieliśmy odszyfrować jego okrutne, jak się w końcu miało okazać, przesłanie. Długo unikałem tematu Sowlinki z jej nieszczęsnym głazem, mimo że docierały do mnie nowe informacje i zapytania. Dopiero po dwóch miesiącach zdecydowałem się zasięgnąć „języka” u źródła, czyli właściciela „Mizgałówki” i tego zapomnianego „Śtajbrucha”.

I całe szczęście! Rozbawiony Jan Mizgała zdjął wreszcie „kłatwę” z tego demonicznego głazu. Potwierdził fakt, że za austriackich czasów był w tym miejscu niewielki kamieniołom, w którym urabiano ręcznie bloki piaskowca magurskiego, również na potrzeby wznoszonego w Limanowej nowego kościoła. Po I wojnie światowej zaniechano dalszego wydobywania.

Wyrobnisko górnicze powoli zarastało, teraz już dużymi drzewami. U jego podnóża pozostał kuszący wielki głaz, którego kamieniarze nie zdążyli już poćwiartować „za łagrem” na mniejsze ułamki.

Aż w końcu skusił w latach trzydziestych XX w. starszego brata Jana, Franciszka Mizgałę, rocznik 1920, przyszłego żołnierza Batalionu Obrony Narodowej – Limanowa, do niewinnego dowcipu. Namówił kolegów i na tym kuszącym płaskim licu kamienia wykuli dłutami tajemnicze symbole, których dosłownego znaczenia nikt już nie pamięta. Tak też ten niewinny zdawałoby się żart kojarzony z tragicznym epitafium, wraz z patyną kolejnej legendy, przetrwał w ludzkiej pamięci około 80 lat.

Te same ławice piaskowca, przedmiot eksploatacji górniczej w Sowlinach początku XX wieku, tworzyły słynne progi skalne przez rzekę, ulubione miejsce naszych dziecięcych zabaw, których zdemolowany okruch zdobi dzisiaj jako blat stołu mój rodzinny, sowliński ogródek.



Kamienny blat stołu z koryta Sowlinki w rodzinnym przyrafineryjnym ogródku Marka Pankiewicza.

Wyrażam podziękowanie pp.: Annie Sułkowskiej (Abram), Janowi Mizgale i Romanowi Pircowi za przybliżenie wspomnień.

Marek Pankiewicz



Przy „tajemniczym głazie” stoi autor wspomnień.



Małgosia Udzielanka - 1958 rok.

„Człowiek żyje tak długo, jak długo trwa pamięć o nim”. Niespodziewanie, ten przewrotny i niesłusznie oskarżony o wszystko zło, zapadający się tajemniczy głaz przywrócił i odświeżył moją pamięć o Małgosi, mej nieodżałowanej, niewinnej dziecięcej miłości, za co w podzięcie poświęcam mu z czułością te kilka słów gawędy.

Historia limanowskiego parku

Park to rozległy swobodnie ukształtowany ogród z alejami i ścieżkami spacerowymi z dużą ilością flory, często zadrzewiony. Jest to teren o charakterze rekreacyjnym.

Historia parków miejskich sięga połowy XVII wieku. Wówczas w miastach niemieckich i francuskich zaczęto tworzyć promenady dostępne dla publiczności. Najstarszy w Polsce jest park miejski w Kaliszu założony w 1798 roku. Koncepcja współczesnego parku publicznego narodziła się w Wielkiej Brytani, a za jej twórcę uchodzi John Claudius Loudon. Istotą parku publicznego miało stać się świeże powietrze i pozbawiona zanieczyszczeń przestrzeń. Za pierwszy park publiczny uchodzi otwarty w Liverpoolu w 1847 roku Birkenhead Park, projektu Josepha Paxtona. Park publiczny miał propagować kulturę, poszanowanie dla piękna przyrody, a także edukować w zakresie przyrody. Dlatego nieodłącznymi jego elementami stały się ogrody botaniczne, muszle koncertowe oraz restauracje. Ponadto publiczna natura tych założeń miała przejawiać się również w licznych miejscach wypoczynku, takich jak ławki, fontanny oraz rozległe połacie trawników służące zarówno odpoczynkowi, jak i aktywnemu uprawianiu sportów. Tworzyło się także aleje drzew, które pozwalały na swobodne spacer relaksacyjne.



Park z przełomu lat 30 i 40 XX wieku.

Limanowski park (dzisiaj park miejski) zawsze kojarzył się z parkiem przy dworze w Starej Wsi. Od drugiej połowy XIX wieku (1853 r.) należał do rodziny Marsów. O tym parku pisał Jan Wielek, a ostatnio Andrzej Kulig w cyklu artykułów pod jednym tytułem: „Z kart historii starowiejskiego dworu i limanowskiego ogrodu”.

Artykuły te w pewnym sensie są wspomnieniami z lat dziecięcych, pana prof. Andrzej Kulig bowiem mieszkał w „Ogrodnikowce” znajdującej się

na terenie parkowo – ogrodowym, w sąsiedztwie starowiejskiego dworu. Jego ojciec, Stanisław, w roku 1936 został zatrudniony w ogrodzie należącym do Marsów i jako ogrodnik pracował tam w latach 30. i 40. XX wieku, a w latach 50., 60. i 70. współtworzył historię tego ogrodu.

W drugiej części tego trzy odcinkowego cyklu („EL” nr 220-221, styczeń – luty, 2013 r.) mogliśmy m. in. przeczytać: *Dwór znajdował się w otoczeniu pięknych drzew i okazałych krzewów, pomiędzy*

którymi wytyczono alejki oraz założono rabaty z kwiatami.

Pani Krystyna Mars – Gawlikowska prawnuczka Antoniego Józefa Marsa (pioniera rodziny Marsów w Limanowej – przyp. red.) poproszona o uwagi do opisu parku uzupełniła informację o starych drzewach, które rosły na terenie parkowo – ogrodowym. Otaczano je specjalną opieką, gdyż stanowiły pewną botaniczną „wyjątkowość”. Blisko drewnianej werandy, która przylegała do dworu od strony wschodniej rosły trzy dorodne, długowieczne, liczące ponad 100 lat zdrowe limby. Spacerując w głąb parku aleją grabową, po lewej stronie widziano wysoki mur będący tylną ścianą budynków magazynowych browaru, a po prawej park, za którym w kierunku południowym położony był ogród kwiatowy i warzywny. W centralnej części parku w niewielkim zagłębieniu terenu, urządzony był kort tenisowy. W parku, bliżej ogrodu, rosły dwa stare cisy, trzy hikory (orzyszki, zwane także przeorzechem) oraz istniejący do dzisiaj dąb.

Ogród położony był za parkiem, na stosunkowo płaskim terenie, ograniczony od strony południowo – wschodniej doliną Potoku Jabłonieckiego, a od strony zachodniej wzniesieniem dworskich pól (dzisiaj znajdują się tu bloki osiedla Z. Augusta – przyp. red.). W otoczeniu parku znajdowały się stawy rybne. W zagajnikach parkowych rozmieszczone były stoliki i ławeczki kamienne.

W latach międzywojennych, a także w czasie okupacji hitlerowskiej park był nadal pielęgnowany. Kiedy po II wojnie światowej majątek Marsów został znacjonalizowany, dwór wraz z parkiem stał się własnością państwa. Pomimo tego przez wiele lat zachował nadal swój szczególny charakter. Pamiętające go osoby wspominają z nostalgią to niezwykle urokliwe miejsce. Park posiadał bardzo stary drzewostan. Nadal istniały stawy, które w okresie zimy dla limanowskiej młodzieży stawały się świetnym lodowiskiem. W tym okresie czasu w dworze miały siedzibę różne instytucje. Zaraz po wojnie zorganizowano tu internat Państwowego Gimnazjum Leśnego,

Park z okresu galicyjskiego i lat międzywojennych



Park od strony wschodniej dworu Marsów.



Aleja grabowa.



Kort tenisowy w parku.



Fragment ogrodu.



Towarzyskie spotkanie w parku.



Nad stawem.



W miejscu największego stawu wybudowano basen kąpielowy - 1972 r. W głębi widoczny nowy kort.

► a następnie kolejno biura i mieszkania pracowników Państwowego Ośrodka Maszynowego (POM), Powiatowy Sztab Wojskowy, Urząd Stanu Cywilnego oraz siedzibę oddziału PTTK. W 1969 roku część pomieszczeń oddano utworzonemu wówczas Muzeum Regionalnemu Ziemi Limanowskiej.

Park pozostawał w pierwotnym stanie, nie zburzono nawet charakterystycznych kamiennych murków ogrodzeniowych. Tak było do roku 1970, kiedy zapadła decyzja o całkowitej przebudowie parku.

Pan Józef Kował, który uczestniczył w pracach związanych z nowym zagospodarowaniem terenów parkowych wspomina:

Prace związane z przebudową miejskiego parku wykonał Miejski Zakład Komunalny w Limanowej. Na początku lat 70. ubiegłego stulecia postawiono drewnianą stylową „muszlę koncertową” we wschodniej części parku w pobliżu Potoku Jabłonieckiego. W miejscu dawnego kortu tenisowego zbudowano fontannę.

Ogród pozostał w tym samym miejscu, jedynie na terenie dawnego dużego stawu wybudowano basen kąpielowy wraz z zapleczem, obok powstały korty tenisowe, których budowę prowadził Marek

Michalczewski. Kierownikami robót przy dużym basenie byli Bronisław Dołhasz i Józef Jasica. Za budynkami gospodarczymi przy dużym basenie wybudowano mały basen dla dzieci, kierownikiem tych robót byłem ja.

Projektantem elementów i detali związanych z zielenią miejską i parkową była Małgorzata Zarecka, z-ca kierownika Zakładu Zieleni Miejskiej, którego kierownikiem w tym okresie był Stanisław Zelek. Wszystkie prace kamieniarskie przy fontannie w parku, słupach ogrodzeniowych przy wejściu do parku, są dziełem kamieniarza Sarneckiego.

Na zapleczu gospodarczym dawnego dworu Marsa budynki, w których mieściły się stajnie krów rasy czerwonej polskiej, przystosowano na hale produkcyjne filii Krakowskiej Fabryki Aparatów Pomiarowych. Pomiędzy dworem a halami produkcyjnymi KFAP został usytuowany pomnik „Wieczystej przyjaźni z narodami radzieckimi” jak głosił na nim napis, który został przeniesiony z limanowskiego rynku podczas jego przebudowy w 1972 roku.

Dzisiaj ogrodu dworskiego i miejskiego już nie ma. Na jego dawnym terenie trwają prace niwelacyjne. Park

miejski urządzony na nowo w latach 70. ubiegłego stulecia zmienił również swój wygląd. W jego rejonie pozostał jedynie kort tenisowy, który nadal służy miłośnikom tenisa ziemnego. Basen kąpielowy, wielka atrakcja dla Limanowej, przestał pełnić swoją rolę dla mieszkańców miasta. Na miejscu dawnych hal odlewni KFAP, które zostały wyburzone, prywatny inwestor postawił budowlę stojącą od kilku lat w stanie surowym. W miejscu stylowej muszli koncertowej powstał obiekt o wątpliwej kompozycji względem architektury dawnego dworu. Zniknął również pomnik.

My zaś Czytelnikom „Echa Limanowskiego” prezentujemy zestaw fotografii, które pozwolą w wyobraźni przenieść się na tereny parkowe, zarówno w początki XX wieku, czasy międzywojenne, okres okupacji i lata powojenne, a także zobaczyć jego wygląd po roku 70., kiedy nastąpiła ostatnia rekonstrukcja.

Fotografie: arch. albumu „Okruchy pamięci. Limanowa na starej fotografii”

Park w latach okupacji, po wojnie i po roku 1970



Na łące w parku 1943 r.



Koncert w parku Orkiestry Gimnazjum Leśnego - 1948 rok.



Alejki w parku miejskim - 1971 r.



Odpooczynek w parku 1944 r.



Park miejski - widok na muszlę koncertową - 1971 r.

PATAGONIA 2017

– trekkingi na krańcu świata

Panorama andyjskich szczytów, z Cerro Torre i Fitz Royem, witająca wjeżdżających do El Chaltén w Parku Lodowców

Nie wchodząc w szczegóły, wiadomo, że Patagonia leży gdzieś na krańcu świata. Jej powierzchnia licząca blisko 1 mln km², położona w ok. 25% na terenie Chile i w ok. 75% na terenie Argentyny, jest ponad trzykrotnie większa od Polski. Jak słabo jest zaludniona, świadczy fakt, że na jeden kilometr kwadratowy przypada niespełna dwoje ludzi!

Samolotami do Puerto Montt

Z czym kojarzy się Patagonia? Każdemu, jeżeli już, to po trochu z czymś innym. Dla mnie są to: oczywiście Andy, a zwłaszcza ich południowa część – liczące około 2000 km długości Andy Patagońskie, kordyliery, kondory, pampa i... piosenka Jana Kaczmarka *Los Andes Cordillera*. Projekt „Patagonia” nie jest dla mnie nowym pomysłem. Rozmawialiśmy o nim już wiele lat temu. Ale literatury popularnej na temat tego regionu nie mam wiele. Według Jacka Pałkiewicza, niezwykle doświadczonego podróżnika, reportera, eksploratora świata, odkrywcy źródła Amazonki, Patagonia jest jednym z najbardziej niegościnnych regionów globu. Małgosia potwierdziła to podczas spotkania przedwyprawowego pełnym obaw stwierdzeniem: musimy być przygotowani na „*extremely unpredictable and brutal weather!*” Mimo tego, a może dlatego, we środę 15 marca 2017 roku 8 uczestników wyprawy w składzie: Danusia z Leszkiem, Kasia z Mirkiem, Zosia, Małgosia oraz Jurek i ja, spotyka się na lotnisku w Warszawie.

A więc lecimy... o 19⁰⁵ do Paryża, gdzie po krótkim oczekiwaniu przesiadamy się do ogromnego Boeinga 777-300, lecącego prosto do Santiago de Chile. Lot trwa ponad 14 godzin *non stop*, bez międzylądowania. We czwartek o 10⁰⁰ czasu lokalnego jesteśmy w siedmiomilionowej stolicy Chile, leżącej u stóp And. Z lotniska udajemy się do apartamentu w centrum miasta. Po zakwaterowaniu się wyruszamy na spacer po mieście. Mamy za mało czasu, aby podziwiać panoramę miasta ze wzgórza San Cristóbal (880 m n.p.m.). Jednym z pierwszych napotkanych gmachów jest ten, należący do Trybunału Konstytucyjnego. Zwiedzamy piękną Katedrę położoną przy centralnym placu Plaza de Armas. Są w niej ślady Jana Pawła II pielgrzymującego do Chile 30 lat temu. Centrum stolicy położonej w pustynnym regionie robi na mnie wrażenie solidnego miasta, z czystymi ulicami i zielenią. Trudy transkontynentalnej podróży dają jeszcze o sobie znać, ale w piątek czeka



Patagonia na mapie Ameryki Południowej (oprac. Maria Pruszyńska-Wojciechowska)

nas dalsza podróż do Patagonii. Na lotnisku podchodzimy do stanowisk odprawiających pasażerów na loty krajowe. Podróż mamy kontynuować liniami Skay, samolotem lecącym docelowo do Punta Arenas, z którego od czasu do czasu wylatuje samolot na Antarktydę. Podczas międzylądowania w Puerto Montt wraz z nami samolot opuszcza wielu pasażerów, bo czym bardziej na południe, tym dalej od tzw. cywilizacji.

Promem do Puerto Natales

Naszym celem są góry, ale bezpośrednio z portu lotniczego jedziemy do... portu wodnego, gdzie powinien czekać „nasz” towarowo-pasażerski prom „Eden”. Ponieważ reportaż ma być na temat trekkingów, więc rezygnuję (na rzecz kolorowych mapek i zdjęć) z relacji o trzydniowym rejsie do Puerto Natales przez fiordy na zachodnim wybrzeżu Chile, pomiędzy



... Patagonia, ostępy strome, dzikie,
gdzie kondor z nagłym krzykiem
wzlatuje w nieboskłon.
Jan Kaczmarek¹

wyspami Patagonii Północnej, wodami Oceanu Spokojnego wzdłuż brzegów Patagonii Południowej. W poniedziałek, 20 marca 2017 r. jesteśmy w centrum turystycznej miejscowości, skąd wędrowcy wyruszają do parków narodowych i na trekkingowe szlaki Południowej Patagonii.

Torres del Paine

Torres del Paine to masyw należący do grupy górskiej Cordillera del Paine. Część łańcucha górskiego o powierzchni 2 400 km² od 1959 roku została objęta ochroną rezerwatową, a następnie w ramach Parku Narodowego Torres del Paine. W 1978 roku organizacja UNESCO wpisała go na listę rezerwatów biosfery. Jest on, obok Pustyni Atacama i Wyspy Wielkanocnej, największą atrakcją Chile.

We wtorek 21 marca minibusem jedziemy bezpośrednio do dyrekcji Parku Narodowego Torres del Paine. Do pokonania mamy około 120 km. Po drodze spotykamy się *face to „face”* z kilkoma ogromnymi kondorami. W Parku, po krótkich formalnościach, kontynuujemy podróż nad brzeg jeziora Grey, gdzie dość długą moreną dochodzimy do niewielkiego katamaranu o nazwie „Grey III”. Prędkość wiatru w rejonie jeziora Grey jest znaczna, dochodzi do 70 km/godz. W samo południe *check in* na prom i odpływamy w kierunku lodowca Grey. Odpadające od niego bryły lodu, w procesie tzw. cieleńia się lodowca, tworzą kry, które trudno nazwać górami lodowymi, ale rozmiary niektórych z nich są spore. Dystans kilkunastu kilometrów pokonujemy w 3 kwadransie i przed godz. 13, nie dopływając do czoła lodowca, wysiadamy na ląd.

Na katamaran wsiadają z kolei liczni wędrowcy, a my kierujemy się na kamping i do schroniska Refugio² Grey. Po zarejestrowaniu się idziemy na południową wędrowkę na północ. W półtorej godziny pokonujemy 4 km szlaku w kierunku przełęczy. Po drodze mijamy wiszący most i zatrzymujemy się przy następnym, skąd mamy świetny widok na czoło lodowca Grey. Podczas południowego trekkingu w lesie, mimo że trochę wyżej, wiatr nie jest już tak uciążliwy. Przed godz. 17 jestem z powrotem na kempingu, aby wynająć namiot, ponieważ dla mnie i Jurka Wojciechowskiego zabrakło miejsca w schronisku. Po kolacji, dość wcześnie kładziemy się spać. Czuję już przyjemność wędrowania i wypoczywania.

Następnego dnia wstaję przed siódmą, zwijam namiot i udaję się na śniadanie. Na wędrowkę z Jurkiem wyruszam z kamпусu przed godz. 9. Trekking zapowiada się bardzo dobrze, jest ciepło, wieje wiatr, ale znacznie słabszy niż dzień wcześniej. Mijając górski potok Rio Olguin wchodzę na teren, przez który przeszły pożary lasu. Ostatni rozległy pożar w Parku, który strawił ponad 150 km², głównie pierwotnych lasów bukanowych oraz zarośli, miał miejsce na przełomie lat 2011/2012. Poprzedni pożar, który zniszczył 160 km² Parku, spowodował w 2005 roku pewien czeski turysta (używając małej kuchenki gazowej). Na dużych drzewach widać czarną opaloną korę. Mniejsze drzewa i krzewy są białe. Poruszają mnie te widoki, ponieważ m.in. o takich nadzwyczajnych zagrożeniach dla środowiska uczę też swoich studentów. Warto dodać, że jesteśmy na terenie chronionym – nikt tutaj nie robił „porządków” po pożarze. Przewyższenia terenu nie są duże – do stu

killudziesięciu metrów. Praktycznie cały szlak biegnie wzdłuż jeziora Grey, którego błękitną taflę wody pokrywają gdzieniegdzie pływające bryły lodu. Towarzyszą nam widoki lodowca Grey i majestatycznego Cerro Paine Grande oraz ciekawe formacje skalne. Nad niewielkim jeziorem Laguna Los Patos robimy mały „popas”. Od tego miejsca, ostatnie kilometry szlaku bieżą już praktycznie w dół, w kierunku Lago Pehoé. Po przejściu 11 kilometrów dochodzimy do ciekawie położonego i dobrze utrzymanego refugio – Lodge Paine Grande.

We czwartek podczas śniadania stwierdzam, że za oknem skrada się *zorro*, a dokładniej kręci się lis szukający okazji, aby coś zjeść. Niebo, jak co dzień o poranku, jest zachmurzone, ale czerwony kolor chmur jest potwierdzeniem dobrej pogody. Dzień zapowiada się urozmaicony pod względem programu. Sześciuosobowa grupa wyrusza na szlak przed godz. 9. Małgosia i Zosia zostają w schronisku – planują późniejsze wyjście. Na kempingu Italiano dokonują się dalsze podziały grupy. Z Jurkiem Wojciechowskim wędruję wzdłuż doliny Vale del Frances. Po pewnym czasie Jurek zawraca, a ja wędruję jeszcze godzinę w kierunku lodowca i punktu widokowego Frances. Leszek, Danusia, Kasia i Mirek powędrowali jeszcze dalej, do Mirador³ Britanico. Towarzyszą nam piękne widoki i... bardzo porywiste wiatry. Szczęście, że pogoda jest przyjazna, nie pada deszcz, świeci Słońce. O godz. 13³⁰ jestem ponownie na kempingu Italiano. Zabieram plecak i ruszam w kierunku schroniska Los Cuernos położonego nad jeziorem Lago Nordenskjöld. Teraz wędruję przez zielony las. Wygląda na to, że pożary nie przeszły

przez dolinę rzeki Frances. Do przejścia zostało jeszcze tylko 5,5 km, ale wędrówka jest trochę męcząca. Do naturalnego zmęczenia doszła walka z porywistym wiatrem. Mimo, że oznakowanie szlaku nie jest najlepsze, do schroniska Refugio Cuernos docieram zgodnie z planem.

W kolejnym dniu wędrówki mamy plan dojścia do schroniska El Chileno. Z samego rana, tuż po godzinie 8, wschodzące Słońce pięknie oświetliło czarno-białe skały „Torresów”. Spektakularny efekt trwa tylko kilkanaście minut. Trzeba spieszyć się z robieniem zdjęć. Gdy po śniadaniu wychodzimy na szlak, stwierdzam, że wiatr wieje co drugi dzień. Woda na jeziorze spokojna, wręcz flauta. Dzień bardzo dobry do wędrówki. Bez wiatru, deszczu i ostrego słońca idzie się bardzo dobrze. Pierwszą godzinę wędrujemy wzdłuż brzegu jeziora Nordenskjöld. Szlak prowadzi wśród krzewów. Z lewej strony mamy piękny widok na „Torresy”. Oznakowanie szlaku jest gorsze niż podczas trzech pierwszych dni (m.in. brak jest informacji o zmianach wysokościowych szlaku), ale widać, że powoli nabieramy wysokości. Po krótkim odpoczynku dochodzimy do rozstajnych dróg. Skręcamy do schroniska El Chileno. Weszliśmy w dolinę rzeki Ascencio i wspinamy się dość stromym podejściem. Dopiero ostatni odcinek staje się bardziej płaski, ale mocno wyekspozowany na zboczu góry Cerro Almirante Nieto (2670 m n.p.m.). Do Refugio Chileno wchodzi się po przejściu przez most na rzece. Po rejestracji, zakwaterowaniu – „czas relaksu”. Jedni biorą kąpiel, drudzy czyszczą i suszą ubrania, jeszcze inni wyruszają w kierunku punktu widokowego Las Torres, bo nie wiadomo, czy rano, ze względu na warunki pogodowe, będzie można obejrzeć wschód Słońca. Ja trochę czytam, robię notatki i odpoczywam. Warunki w schronisku zbliżone do tych w Los Cuernos. Pokój dla 8 osób, z łózkami jedno- lub dwupiętrowymi. Ale jest czysto i jest bieżąca woda, także ciepła. W tym miejscu warto wspomnieć o ochronie środowiska w Parku i w schroniskach. Góry są czyste. Oszczędzana jest woda i energia elektryczna (zainstalowano wiatraki i hydroelektrownię). Odpady są zbierane i segregowane. Jako ciekawostkę można dodać, że wszystkie owoce są przywożone z północy kraju (ok. 2300 km).

Zakończenie trekkingów chilijskich zapowiada się ambitnie. Wraz z Danusią Horodyńską i Leszkiem Cichym wstajemy



Spotkanie z kondorami w drodze do Parku Narodowego Torres del Paine - ósmego cudu świata

o 5⁰⁰, aby wyruszyć na obejrzenie wschodu Słońca na szczytach Torres. Musimy zdążyć na godz. 8⁰⁰, bo koniec świtu nie będzie czekać. Szlak najpierw dość przyjemny, cały czas pod górę, ale przez las. Ostatnie pół godziny marszu jeszcze bardziej stromo wśród nagich skał. Ale warto było. Widok oświetlonych złotym słońcem szczytów niezapomniany. Robimy liczne zdjęcia i po półgodzinnym „spektaklu” schodzimy ponownie do schroniska. Niewielki odpoczynek, dopakowanie plecaków i wędrujemy w dolinę. Droga nie jest trudna, ale wymaga utrzymania dostatecznego tempa. Jesteśmy na krańcu świata, ale musimy żyć w zgodzie z zegarem. Powinniśmy o 14⁰⁰ wsiąść do niewielkiego busa, który zawiezie nas do miejscowości Laguna Amarga. Spotykamy się w restauracji hotelu Las Torres, gdzie oczekujemy na przyjazd busika. Gdy tylko się zapełnił, odjechał jeszcze przed godziną czternastą. W Laguna Amarga przesiadamy się na zwykły rejsowy autobus, którym wracamy do malowniczego miasteczka Puerto Natales. Wieczorem jesteśmy w hoteliku. Przygotowujemy się do opuszczenia Chile i przejazdu na argentyńską stronę Patagonii.

Park Los Glaciares

Niedziela 26 marca 2017 roku jest przeznaczona na przejazd do El Calafate, stolicy Parku Narodowego Los Glaciares (Park Lodowców), wpisanego na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Ten wspaniały twór przyrody jest trzecim co do wielkości lądolodem na naszym globie. Kwadrans przed godziną ósmą przyjeżdżamy busem firmy hotelowej na dworzec autobusowy i wsiadamy do wygodnego piętrowego autobusu. Dość szybko dojeżdżamy do przejścia granicznego.

Najpierw odprawa na granicy chilijskiej, a następnie argentyńskiej w prowincji Santa Cruz. Cała procedura zajęła nam około godziny. Wszystko poszło sprawnie i mamy prostą drogę do El Calafate. Jedziemy przez rozległe pagórkowate, półpustynne, pozornie bezładne tereny. Z dworca autobusowego do hoteliku ruszamy na piechotę. Po kilkudniowych trekkingach nie stanowi to problemu.

W poniedziałek po śniadaniu pięcioosobowa grupa wyjeżdża na całodzienną wycieczkę na półwysep Magallanes, do odległego o 72 km lodowca Perito Moreno. Przyjeżdża po nas minibus, który w ciągu godziny zawozi nas na brzeg jeziora Argentino, do którego wpada czoło lodowca. Perito Moreno, mimo że jest w Patagonii jedynym z wielu lodowców, pełni rolę wizytówki. Jest fantastycznie wyekspozowany dla oglądających i robi wrażenie. Lodowiec ma długość 30 km, a jego szerokość nad jeziorem wynosi 5 km. Wysokość jego czoła nad taflą jeziora, w zależności od miejsca i pory roku, wynosi od 30 do 70 m. Szczególnie spektakularne są momenty odrywania się olbrzymich brył lodu, które z ogromnym hukiem wpadają do wody. Lodowiec „żyje” i przemieszcza się w tempie ok. 2 m na dobę. Na jego obejrzenie mamy pełne 5 godzin. Początkowo wydaje się to zbyt dużo, ale spacer po kilku poziomach chodników i platform widokowych wypełniają cały dostępny czas, tak że na popołudniowy relaks przy kawie z trudem wygospodarujemy kwadrans. Przed odjazdem busa widzę, że w rejonie parkingu znowu kręcą się lisy. Prawie jak dziki na moim osiedlu w Warszawie.

Następnego dnia wyruszamy autobusem do odległego o ok. 220 km El Chaltén, w pobliże jeziora i lodowca o nazwie



Autor na półwyspie Magallanes – na tle ogromnego, ale nie największego w Parku Narodowym Los Glaciares, lodowca Perito Moreno (o powierzchni 258 km²)

Viedma. Jedziemy słynną Ruta 40 (znana jako „Ruta Quarenta”) – liczącą 5 tysięcy kilometrów drogą, która na naszej trasie jest już pokryta asfaltem. Przed wjazdem do liczącej około 100 stałych mieszkańców wioski El Chaltén, zatrzymujemy się w Centrum Turystycznym, aby wysłuchać krótkiej informacji na temat Parku i zasad zachowania się w nim. Mamy zaplanowane dwa dłuższe trekkingi – pod Cerro Torre i pod Fitz Roya. Plany wędrówkowe zależą oczywiście od pogody. Aby nabrać zapału przed czekającymi nas trekkingami zaczynamy od wycieczki szlakiem w kierunku Loma del Pliegue, z którego roztaczają się wspaniałe widoki na okoliczne szczyty argentyńskiej Patagonii. Kilkogodzinna wędrówka na pobliskie wzgórza i punkty widokowe Mirador de los Condores i Mirador de las Águilas pozwala rozruszać się po podróży autobusowej i cieszyć patagońskim Słońcem.

Na liczącą około 11 kilometrów wędrówkę do jeziora Torre wyruszam dość wcześnie, aby zdążyć do punktu widokowego przed wschodem Słońca. Dodatkowo jest pomysł, aby w przypadku dobrej pogody zrobić dwa trekkingi w jeden dzień. Obserwując las i zarośla dochodzę do wniosku, że doliną rzeki Rio Fitz Roy też przeszedł pożar. Nad lodowcowym jeziorkiem Laguna Torre jesteśmy u celu – podziwiamy wschodnią ścianę iglicy skalnej Cerro Torre. Przy okazji krótki odpoczynek i sesja zdjęciowa. Schodząc, wybieramy równoległą malowniczą ścieżkę przez las, wzdłuż moreny bocznej lodowca. Po kilku kilometrach wędrówki decyduję się na wariant „dwa w jednym”. Tak więc nie schodzę bezpośrednio do El Chaltén, rozstaję się z Jurkiem i skręcam w kierunku jeziora Madre, a w zasadzie trzech jezior o nazwach: Matka,

Córka i Wnuczka (Lagunas Madre, Hija & Nieta). Jeszcze ostatnie spojrzenie na Cerro Torre i trawersuję masyw góry w kierunku szlaku pod Fitz Roya. Po drodze mijam malownicze jezioro Madre, nad brzegiem którego chwilę odpoczywa część naszej ekipy. Po przejściu ok. 6 km dochodzimy do szlaku pod Fitz Roya. Zosia i Małgosia decydują się schodzić do El Chaltén. Ja skręcam w dolinę rzeki Blanco. Początkowa wędrówka wśród krzewów szybko zamienia się w wspinaczkę po stromym skalistym szlaku. Za to panorama z każdej strony jest bajeczna. W tym rejonie, z uwagi na liczne lasy liściaste, doliny maluje paleta kolorów jesienni. Wczesnym popołudniem dochodzę do lodowcowego jeziora de los Tres leżącego u stóp Fitz Roya. Po nasyceniu się widokiem skalistych szczytów pozostaje tylko szczęśliwie wrócić do hotelu. Pierwszy odcinek dwunastokilometrowej wędrówki, do doliny Rio Blanco, wymaga szczególnej ostrożności. Po minięciu znanych już rozstajnych dróg, teren się wyplaszcza i wędrówka staje się łatwiejsza, mimo że nie tak bogata w panoramiczne widoki. Nie można narzekać. Po drodze mijam jeszcze jezioro Capri o turkusowej tafli wody i wędruję wzdłuż rozległej widokowo doliny Rio de las Vueltas. Wieczorem, po kilkunastogodzinnej wędrówce, wszyscy czujemy satysfakcję z pięknego dnia. Dla takich chwil udaję się aż tak daleko. Wciąż nienasyconym widokami Patagonii polecam kilka pocztówek (<http://www.pocztowkizpodrozy.pl/index.php/mapa/14-argentyzna/581-589-patagonia-cz-i>).

Reportaż zdjęciowy na stronach 34-35

Samolotami do Warszawy

Ponieważ „zaoszczędziliśmy” jeden dzień, więc czwartek jest pełen relaksu. Popołudniu wybieramy się na krótki spacer do pobliskiego, około 20-metrowego, wodospadu Chorrillo del Salto, a wieczorem wizytuję lokalny „przyręstaracyjny” browar produkujący piwo „Chaltén”. Następnego dnia wyjeżdżamy już z El Chaltén. Kierowca specjalnie zatrzymał autobus, aby pasażerowie spojrzeli na panoramę wspaniałych szczytów. Przed nami 3 godziny jazdy na lotnisko w El Calafate. Stąd do Polski jest ok. 14 tys. km. Dlatego po drodze zatrzymamy się w odległej o 2750 km stolicy Argentyny i... argentyńskiego tanga.

Wieczorem jesteśmy w Buenos Aires. Po trudach na patagońskich szlakach mamy dwa dni odpoczynku w luksusowych warunkach. Podczas wieczornego spaceru trafiam na kolejny gmach, tym razem argentyńskiego Trybunału Konstytucyjnego. Pierwszy raz przytrafia mi się coś takiego. Znak czasu. Pierwszy dzień kwietnia jest przeznaczony na zwiedzanie centrum miasta. Ja wybrałem przejazd wycieczkowym autobusem m.in. Avenida 9 de Julio, najszerzą ulicą świata, przy której stoi Obelisk będący symbolem miasta, i przez artystyczną dzielnicę La Boca z jej kolorowymi blaszanymi domami oraz wieczorną rewię Cátulo Tango. Niedzielne przedpołudnie przeznaczam na porządkowanie bagażu, spacer po mieście, drobne zakupy i pakowanie. O 13³⁰ wyjeżdżamy na lotnisko. Patrząc przez okno samolotu i widząc pierwsze krople deszczu. Zaczyna intensywnie padać. Potwierdziło się: pogoda w Patagonii jest nieprzewidywalna. Dla nas nie była „brutalna”. Więcej, okazała się bardzo przyjazna. Wylot do Paryża, z powodu wykrytej w ostatniej chwili wady technicznej samolotu, opóźnił się o 3 godziny. Dlatego dopiero po siedemnastu godzinach spędzonych w samolocie lądujemy w stolicy Francji. Czujemy się już prawie jak w domu. W poniedziałkowy wieczór, pełni niezapomnianych wrażeń, lądujemy na Okęciu w Warszawie.

Od Autora: Marii Pruszyńskiej-Wojciechowskiej dziękuję za opracowanie mapek.

Andrzej KULIG

Fotografie ze zbioru A. Kuliga
Warszawa, sierpień 2017 r.

¹ Kaczmarek J. współautor tekstu i wykonawca piosenki pt. „Los Andes Cordillera”.

² Refugio, z hiszpańskiego - schronisko.

³ Mirador, z hiszpańskiego - punkt widokowy.

Piknik historyczny na zrzutowisku „Sójka 401”

W lipcową niedzielę 16. 07. 2017 na zboczach Dziełca w Słopnicach, na zrzutowisku „Sójka 401”, stanowiącym jeden z punktów Ścieżki Historyczno – Edukacyjnej 1. PSP AK im. kpt. Juliana Krzewickiego spotkali się miłośnicy historii i lotnictwa. Rekonstrukcja zrzutów alianckich, zorganizowana po raz kolejny przez Stowarzyszenie Rekonstrukcji Historycznych 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK miała upamiętnić wydarzenia sprzed 73 lat. W nocy z 9 na 10 lipca 1944 roku brytyjska załoga samolotu Handley Page Halifax dokonała zrzutu broni, umundurowania i leków, przeznaczonych dla żołnierzy Obwodu AK Limanowa oraz oddziału partyzanckiego „Wilk”. W tym roku pokazy lotnicze – stanowiące główną atrakcję pikniku – zgromadziły ok. 500 turystów.

Rekonstrukcja zrzutu

Pokazy rozpoczęły naloty trzech samolotów. Piloci z Aeroklubu Podhalańskiego w Łososinie Dolnej i Stowarzyszenia Lotnictwa Eksperymentalnego EAA 911 wykonali kilkanaście efektownych akrobacji oraz zrzucili „słodki ładunek” dla najmłodszych uczestników. Rekonstrukcję odbioru zrzutu przygotowali członkowie SRH 1 psp AK oraz licealiści i studenci z Klubu Historycznego im. Armii Krajowej z Olkusza. „Partyzanci” w ubraniach i w umundurowaniu wiernie oddającym realia wojenne ugrupowali się na polanie zrzutowej w formie strzałki, wskazującej kierunek wiatru. Przekazywali pilotom sygnały świetlne za pomocą latarek. Po zakończeniu pokazów lotniczych zaprezentowali obecnym replikę zasobnika zrzutowego, w którym ukryto kolejne słodkie niespodzianki.

CASA i... skoczkowie

Duże emocje wzbudziło pojawienie się nad polaną samolotu CASA C-295 z 8. Bazy Lotnictwa transportowego w Balicach. Jego przelot planowano też podczas pikników w ubiegłych latach, ale uniemożliwiały to warunki atmosferyczne. Kpt. pilot Michał Zychowicz, entuzjastycznie witany

przez widzów, dokonał kilku nalołów, a na pożegnanie „pomachał” skrzydłami samolotu. Wówczas rekonstruktorzy podrzucili w górę swoje czapki i furażerki. Największą atrakcją stanowiły odbywające się po raz pierwszy podczas tegorocznego pikniku skoki spadochronowe z samolotu Cessna 206 z Aeroklubu Krakowskiego. Skoczkowie: Maciej Nowakowski, Józef Łuszczki, Wiesław Guzik i Leszek Mańkowski zaprezentowali podczas lotu efektowne ewolucje. Ostatni skoczek wylądował w drugiej części zrzutowiska i został przejęty przez patrol partyzancki. Prezes Rady Seniorów Lotnictwa Leszek Mańkowski wykonał skok w brytyjskim mundurze battle dress z wyposażeniem z okresu II wojny światowej. Skoczkowie zaprezentowali obecnym sprzęt i wrażenia z lotu. Swoje refleksje i wspomnienia przedstawił też o. Dominik Orczykowski, kapelan polskich lotników.

Żywa historia

Uczestnicy pikniku historycznego mieli możliwość obejrzenia kolekcji uzbrojenia, umundurowania i wyposażenia z okresu II wojny światowej, przygotowanej przez członków SRH 1 psp AK. Mogli zapoznać się z zasadą działania wybranych broni i wykonać pamiątkowe zdjęcia. Ciekawy zbiór eksponatów zaprezentował pasjonat lotnictwa Andrzej Woźniczka. Pracownicy oddziału IPN w Krakowie dr Dawid Golik, dr Michał Wenklar i Michał Masłowski prowadzili gry edukacyjne, związane tematycznie z historią polskiego lotnictwa i zrzutami alianckimi.

Organizatorami pikniku historycznego byli: Gmina Słopnice z wójtem Adamem Sołtysem, Stowarzyszenie Rekonstrukcji Historycznych 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK, Krakowski Oddział Stowarzyszenia Seniorów Lotnictwa Wojskowego RP z prezesem Stanisławem Wojdyłą.

Wszystkich pasjonatów historii i lotnictwa zapraszamy już w grudniu br. na Polanki Szczawskie, gdzie odbędzie się podobna rekonstrukcja zrzutów.

Ilona Machowicz – Jurowicz





Fotografie: Jakub Kmiecik

PATAGONIA 2017

CHILE



Powyżej: Czoło lodowca Grey – jednego z 49 lodowców spływających z Łądolodu Patagonii Południowej

U góry: Niezapomniany, zjawiskowy wschód Słońca, oświetlającego pierwszymi promieniami ściany skalnych „Torresów”



Park Narodowy Torres del Paine
(oprac. Maria Pruszyńska-Wojciechowska)



W drodze do Refugio Cuernos – przez „niezwykłe”, zniszczone w wyniku pożaru, zarośla



Wiszący mostek nad rwącą rzeką Rio Frances, przed wejściem do obozu Italiano

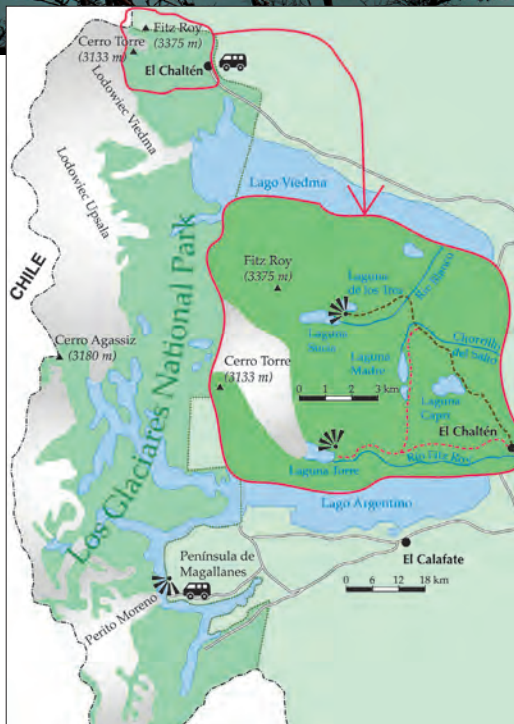
ARGENTYNA



Fotografie: Andrzej Kulig



Powyżej: Morena czołowa lodowca, a za nią granitowe turnie Cerro Torre w Andach Patagońskich
Ugóry: Lodowiec Perito Moreno zasilający wody jeziora Lago Argentino, podobno jedyny na świecie, który się nie cofa



Park Narodowy Los Glaciares
(oprac. Maria Pruszyńska-Wojciechowska)



Turkusowa tafla jeziora Capri – obraz harmonii, spokoju i ciszy (bo patagoński wiatr nas oszczędza!)



Nad brzegiem jeziora de los Tres na tle Fitz Roya, od lewej: Danusia Horodyńska, autor, Leszek Cichy oraz Mirek i Kasia Polowcowie (fot. ze zbioru M. Polowca)

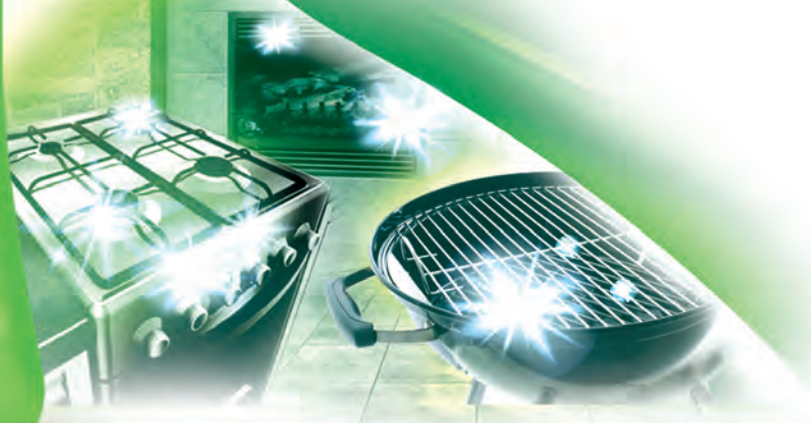
**Gold
drop**

Producent Środków Czystości
od 1991 roku

golddrop.eu



**Polecamy się
do ekspresowych porządków !**



Gold Drop Sp. z o.o., ul. Rzeczna 11d, 34-600 Limanowa,
tel. 18 3376137

Z pamiętnika Leopolda Marsa

Stanisław Ociepka

W kulturotwórczym środowisku limanowskim znany jest pamiętnik Antoniego Józefa Marsa, opracowany przez Teofila Wiadomskiego, który w formie drukowanej po raz pierwszy ukazał się w 1904 roku pt. „Z pamiętnika Antoniego Józefa Nogi Marsa – Dotyczące działalności w Galicji w drugiej połowie ubiegłego stulecia” (chodzi o drugą połowę XIX w – przyp. red.).

Pamiętnik ten подарowany przez Panią Krystynę Mars – Gawlikowską, ostatnią żyjącą w prostej linii potomkinię rodziny Marsów przekazał mi prof. Andrzej Kulig.

W oparciu o ten pamiętnik napisałem dwa artykuły odnoszące się do osoby Antoniego Józefa Marsa, seniora limanowskiej ziemiańskiej rodziny, który do naszego miasta przybył w 1853 roku i po poślubieniu Franciszki Żelechowskiej wszedł w posiadanie starowiejskiego majątku i dworu. Rękopis tego pamiętnika znajduje się w Regionalnym Muzeum Ziemi Limanowskiej. Forma zapisu wspomnień limanowskiego dziedzica – pamiętnik pisał, gdy miał osiemdziesiąt pięć lat – jest bardzo trudna do odczytania, bowiem charakter pisma autora jest hieroglificzny (nieczytelne litery), występuje wiele skreśleń i poprawek. Trzeba się uważnie wczytać w treść pamiętnika, aby opisywane zdarzenia właściwie umieścić w czasie, bowiem autor przy ich relacjonowaniu praktycznie nie używa dat. Okazuje się, iż umiejętności pamiętnikarskie posiadał nie tylko Antoni, ale także jego brat Leopold Mars.

Dla Czytelników „Echa Limanowskiego” podaję krótkie przypomnienie, iż rodzina Marsów wywodzi się ze Strzyżowic w powiecie olkuskim, gdzie już w XVI wieku miała majątek, i pozostawała w tych dobrach do XIX w. W roku 1863 majątek ten nabył hr. Renard, a rodzina Marsów przeniosła się do Galicji, gdzie się na stałe osiedliła.

W rodzinie Kacpra Marsa i Karoliny Elżbiety Chodakowskiej h. Dołęga (jego pierwsza żona) było dwóch synów: Antoni Józef i Leopold oraz trzy córki: Ludwika, Elżbieta i Brygida.

Na uwagę zasługuje Leopold Mars (1824–1885), uczestnik wypadków 1848 w Galicji (zrywów rewolucyjnych i narodowych w czasie wiosny ludów) i wojny krymskiej, porucznik Kozaków Sułtańskich, pamiętnikarz. Ożenił się z Augustyną Żelechowską h. Ciołek spokrewnioną z Franciszką żoną brata. Ostatnie lata swojego życia spędził w majątku brata, Antoniego Józefa Marsa w Limanowej. Pochowany został w kaplicy rodowej Marsów na cmentarzu parafialnym w Limanowej o czym świadczy tablica inskrypcyjna umieszczona na ścianie wewnątrz tej kaplicy.

Wspominał o nim również Andrzej Kulig w artykule „Z kart historii starowiejskiego dworu i limanowskiego ogrodu”. Dzięki uprzejmości wspomnianej

p. Krystyny Mars Gawlikowskiej otrzymałem jego pamiętnik zatytułowany: „Pamiętnik Leopolda Marsa, żołnierza tułacza i wygnańca, 1848-1853”, jak napisał o sobie we wstępie pamiętnika.

Leopold Mars mianowany oficerem brał udział w wojnie krymskiej, w oblężeniu Sewastopola i w bitwie pod Silistrą (1854 r.). Walczył w oddziałach Kozaków Sułtańskich był to załęczek polskiej formacji wojskowej utworzonej jesienią 1855 r. w czasie wojny krymskiej pod auspicjami Hotelu Lambert działającego na emigracji po powstaniu listopadowym (1830 r.).

Z szeregów kozackich przeszedł potem do armii tureckiej, w której organizował kawalerię. Podczas ekspedycji sewastopolskiej wezwano go do sztabu francuskiego, gdzie służył jako tłumacz języków wschodnich. Kilkakrotnie ranny w batalii, wrócił do Konstantynopola, gdzie się leczył, aby pod koniec swojego życia osiąść na stałe w Limanowej.

Na podstawie wspomnianego pamiętnika Leopolda Marsa możemy prześledzić wczesne lata jego dzieciństwa w Strzyżowicach, gdzie się urodził, zagłębić się w panującą atmosferę domu rodzinnego Kacpra i Karoliny Marsów, a przede wszystkim poznać bogate i barwne losy żołnierza poszukującego dróg do odzyskania przez Polskę niepodległości.



Leopold Mars (1824-1885).

Ale po kolei:

Leopold urodził się w 1824 roku w Strzyżowicach (parafia Siemonia – księstwo siewierskie), które jak pisze w pamiętniku od niepamiętnych czasów do roku 1863 były w rękach rodziny Marsów. W pamiętniku czytamy: *Familia moja pochodzi z księstwa siewierskiego i należy do tzw. szlachty siewierskiej. Wraz z resztą tej szlachty otrzymała po sekularyzacji księstwa siewierskiego – polski indygenat. Dziad mój, Jan Kanty, był ożeniony z Maryanną z Świerczowskich (Marianna Świerczowska h. Trąby – przyp. red.), pradziad zaś miał imię Jan, zaś żona jego Zofia, lecz jej rodowego nazwiska nie pamiętam (żona Jan Marsa, Zofia była z domu Porębska h. Nabram – przyp. red.) (...).*

Kiedy Leopold ukończył ósmy rok życia, ojciec oddał go na prywatną „pensję” do nauczyciela w sąsiedniej wsi na wikarówce. Uczono w niej czytania, pisanie, rachunków i początków niemieckiego. Po dwóch latach nauki dalszą edukację Leopold kontynuował w Siewierzu gdzie była szkoła trzyklasowa. Po kilku latach pobytu w Siewierzu, wyjechał wraz z starszym bratem Antonim Józefem do Krakowa, gdzie Józef zaczął uczęszczać do liceum św. Anny, a on do szkoły technicznej. Obaj mieszkali w bursie jezerolimskiej, utrzymując się z zasiłków udzielanych przez ojca.

W tym czasie, ojciec ożenił się po raz drugi z Marią Młodkowską. Nie mogąc przy szczupłych dochodach utrzymać rodziny wstrzymał synom wypłaty dotychczasowych zasiłków. Józef poradził sobie sam, udzielając korepetycji ►

► i kontynuował swoje studia. Leopold nie mając z czego żyć wrócił do domu. Po powrocie do domu wziął go stryj do pomocy w gospodarstwie, a w końcu oddał go na dalszą praktykę agronomiczną do dóbr hr. Henryka Potockiego do Chrząstowa.

W Chrząstowie Leopold przebywał do roku 1848. W karnawale tego roku pojechał z dyrektorem cukrowni chrząstowskiej do Warszawy. Trafili tam na chwilę wybuchu lutowej rewolucji paryskiej. Wieść o tym zdarzeniu lotem ptaka obiegła Warszawę. W sercu Leopolda obudziła nadzieję na interwencję Francji w sprawy polskie. Mówiono powszechnie o wybuchu powstania. Po kilkudniowym pobycie w Warszawie Leopold Mars wrócił do domu z sercem pełnym oczekiwania i wzburzonym umysłem, chęci walki o odzyskanie przez Polskę niepodległości.

Dla zobrazowania panującej wówczas atmosfery przytoczę fragment z pamiętnika Leopolda opisujący incydent, jaki mu się przytrafił w Warszawie: *Przed samym wyjazdem do Krakowa poszedłem do biura policji po paszport. Urzędujący komisarz nie chciał mi wydać paszportu, lecz kazał mi zatrzymać się do przybycia dyrektora. Ciarki mnie przeszły, bo trzeba wiedzieć, że dla uniknięcia służby w wojsku rosyjskim byłem za fałszywym paszportem austriackim, który zdołałem uzyskać w Krakowie. Nadrabiam jednak minę, aż po chwili nadchodzi dyrektor policji pułkownik Abramowicz i imperytynenckim tonem poczyna mi robić uwagi, że obowiązkiem moim było zgłosić się natychmiast po przyjeździe do policji. Na tłumaczenie moje, że nie wiedziałem o tym przepisie krzyczy: „Wam teraz tylko to w głowie, co się za granicą dzieje a o przepisy prawa, nie dbacie” i poleca mnie zamknąć do aresztu.*

Zamknięto mnie samego w niedużej celi. Noc całą spać nie mogłem a przed oczyma cisnęły mi się najokropniejsze obrazy Sybiru, rot aresztanckich. Rano przyszedł do mnie dozorca z drugim jakimś jegomościem i powiada z uśmiechem, że pan dyrektor kazał się spytać, czybym sobie nie życzył ogolić brody. Nosilem wówczas hiszpankę. Odpowiedziałem, że bynajmniej o tem nie myślę, na co te dwa draby chwytają mnie i jeden poczyna mi mydlić brodę, a drugi od razu goli. Byłem oburzony, ale bojąc się skaleczenia, siedziałem cicho. Ogoliwszy mnie do czysta, porwali mnie pod ręce i zawiedli do



Tablica epitafijna na ścianie wewnątrz kaplicy Marsa na cmentarzu parafialnym w Limanowej.

dyrektora, który z uprzejmym ukłonem wręczył mi paszport i zauważył ironicznie, że mi wiele lepiej bez brody. Tak się to Moskale bali rewolucji, że nawet niewinne hiszpanki straszyły ich widmem buntu (...).

W rezultacie pojechał Leopold do Krakowa, gdzie emigracja paryska miała organizować powstanie. Kiedy pod dowództwem Adama Potockiego rozpoczęto formować gwardię narodową, nasz bohater zapisał się do niej i jako szeregowiec brał udział w musztrze na krakowskich Błoniach. W tym czasie poznał księcia Ludwika Sułkowskiego (syna generała austriackiego), właściciela Słupi pod Mysłowicami w zaborze pruskim. Będąc w Słupi, bierze czynny udział w organizowaniu oddziału strzelców dla mającego wybuchnąć powstania. Za pośrednictwem Sułkowskiego, Leopold Mars przemycił broń z Wrocławia do Krakowa, a skład tej broni i amunicji mieścił się w jego mieszkaniu przy ul. Floriańskiej. Po wydarzeniach zaczęto – zbrojnych, widząc, iż dłużej nie ma co robić w Krakowie Leopold z innymi emigrantami wyjeżdża do Wrocławia, po drodze jednak wysiada w Mysłowicach udaje się do Sułkowskiego do Słupi i tam pozostaje dłuższy czas.

Następnie udał się do Lwowa, gdzie spotkał byłego oficera ułanów z 1831 r. Strzymickiego, u którego chwilowo

zamieszkał. Poszukując stałej kwatery, przypadkowo spotkał aptekarza lwowskiego, który zajmował się losem emigrantów i w rezultacie dostał stałą kwatery w domu Komorowskich. W tym czasie zostaje mianowany podoficerem legionu akademickiego. Bierze udział w zbrojnych wydarzeniach we Lwowie, gdzie zostaje rany na barykadzie wzniesionej obok kościoła Jezuitów i tylko dzięki poświęceniu wiarusa Wojciecha, lokaja pp. Komorowskich ratuje się. Po przyjeździe do siebie z pozostałymi towarzyszami walki zostaje wywieziony ze Lwowa.

Na kilkudziesięciu wozach, po czterech, pod strażą żołnierzy, kolumna po pięciu dniach podróży przybywa do Krakowa. Tu wszystkich ulokowano w klasztorze na Skalce, gdzie pozostają kilka dni. Tam komisarz policji oświadczył im, że wyruszą w dalszą drogę do Francji. W nocy pod eskortą wojska wszystkich emigrantów zapakowano do kolejowych wagonów i wywieziono do fortecy Theresienstadt. Po kilkutygodniowym pobycie w twierdzy wysłano ich kolejną do Wiednia, skąd zaraz następnego dnia pod eskortą furami wywieziono do Triestu. Po niezbyt długiej podróży przybyli do Grazu. Minęli góry i dalej wieziono ich furmankami. W niedługim czasie przybyli do Monfalcone we Włoszech leżącym nad brzegiem morza. Tu umieszczono ich w koszarach,

poddano oględzinom lekarskim, zabrano wszelką broń i oświadczono, że niebawem wypłyną statkiem. I tak się stało. Po czterech tygodni morskiej podróży wielu kompanów Leopolda Marsa zachorowało. Między żołnierzami zalegało robactwo. Okazało się po pewnym czasie, że płynęli nie do Francji jak im obiecano, lecz w kierunku Afryki. W rezultacie znaleźli się w Algierze. Po dłuższym pobycie w Algierze i wielu przeżytych tam przygodach Leopold Mars wyruszył w ostatnią podróż swojego życia do

Turcji nad Morze Śródziemne. Tam ciągnął się do armii tureckiej. Po kilku tygodniach pułk, w którym się znalazł wyruszył na linię bojową pod Widyń (od 1878 r. w granicach Bułgarii – przyp. red.). Na opis tego wydarzenia kończy się rękopis Leopolda Marsa.

Historia Leopolda Marsa jest przykładem żołnierza tułacza, którego marzeniem było doprowadzenie do odzyskania przez Polskę niepodległości. Marzenie swoje realizował poprzez zaangażowanie się w walkę na frontach organizowanych

przez rodaków w różnych częściach świata. Niestety za swojego życia nie doczekał wolności kraju i w miasteczku galicyjskim, Limanowej, dopełnił bogatą doczesną ziemską wędrówkę.

Wyrażam podziękowanie Pani Krystynie Mars – Gawlikowskiej, za udostępnienie pamiętników, Leopolda Marsa, brata Antoniego Józefa Marsa, pradziadka p. Krystyny Mars – Gawlikowskiej.

Wstrząsające fakty Stara Wieś – 18 sierpnia 1942

Łukasz Połomski

Stojąc na pustej łące, gdzie latem 1942 r. rozstrzelano mieszkańców Limanowej, zdałem sobie sprawę, jak niewiele wiemy o tym, co się wydarzyło na tzw. Pożarach. Wymowna cisza jest porażająca, podobnie jak pamięć o okolicznych Żydach. W Starej Wsi zamordowali ich Niemcy, ale jeszcze gorsza jest ta druga śmierć – zapomnienie. Wraz z odejściem każdej starszej osoby, uciekają twarze Ofiar, rozmywają się ich głosy, a tragedia narodu żydowskiego staje się odległą przeszłością.



Po raz pierwszy po 75 latach na jednej z łąk na Pożarach (Stara Wieś) w miejscu egzekucji limanowskich Żydów zapalono znicze i odmówiono modlitwę.

Łąka zapomnienia

18 lipca 2017 roku pierwszy raz w życiu zobaczyłem co to znaczy zapomnienie. Łąka pod lasem w Starej Wsi wygląda tak, jakby od czasu ekshumacji ludzka noga tutaj nie stanęła. Z morza

traw zionie olbrzymia wyrwa – miejsce po masowym grobie. Widok przerażający, wobec którego trudno pozostać obojętnym.

Jadąc do Starej Wsi wiedziałem tyle, że 18 sierpnia 1942 r. Niemcy zgromadzili

tam mieszkańców getta. Starcy, kobiety i dzieci – moja wyobraźnia nie może tego przyjąć. Ilu ludzi tu zastrzelono? Pytanie jest bez odpowiedzi, choć liczby są różne, ale oscylują wokół 200 osób.

Znany mi dokument Samuela Kaufera, mówi o wymordowaniu na tym terenie nawet około czterystu Żydów. „*Tutaj kończyła się droga*” – pokazuje Karol Wojtas, limanowski historyk – „*Dalej był las*”. Słyszając te słowa, mam przed oczami opowieści Kaufera, który pisał o tym, że Żydzi wiedzieli gdzie jadą... wyrzucali kosztowności, dolary i złoto. Na miejscu były już groby, te same jakie widziałem tego lipcowego dnia. Na środku łąki stał Heinrich Hamann, szef gestapo. Nad dołem wygłosił przemówienie o szkodliwości żydostwa, krwiopijstwie itd. Pierwszy, który zginął w egzekucji, a był nim rabin, miał powiedzieć Niemcowi: „*Bądź przeklęty przez tysiące wieczyńności razem z Hitlerem i wszystkimi Niemcami*”. Nie dokończył. Strzelili do niego jednocześnie Hamann i Johan (szef sądeckiego więzienia). Resztę spotkał podobny los. „*Ciała przysypano wapnem, które potem gasiło się tworząc niesamowite wysięki*”. Tych, którzy pozostali na Rynku wysłano piechotą do Sącza, a potem zagazowano w Bełżcu. Dzieci miały jechać pociągiem, przy czym nikt ich już nie zobaczył. Zaś około 176-osobowa grupa młodych mężczyzn w wieku od 18 do 30 lat została umieszczona w obozie pracy w Sowlinach. 5 listopada 1942 roku wszystkich rozstrzelano na „Tymbarskich Działach” w Zamieściu. ▶

► Straszna historia. Idąc przez las, mijamy dwie polany. Pierwsza to zniwelowany teren, ewidentnie wykorzystywany do celów rolniczych. Kto wie, może wypasa ktoś na nim krowy? Okoliczni mieszkańcy wiedzą co to za miejsce. „*Tam nic nie urosnie. Nawet bydło nie chce się paść*” – słyszymy od jednej z kobiet. Pierwszą polaną roboczo nazywam Polaną „A”. Przedziela ją lasek, ewidentnie młody, powojenny. Za nią jest Polana „B”, tam widać ślady masowych grobów. Można śmiało przypuszczać, że grób był kopany równoległe od potoku, lasku nie było, a całe pole było jedną polaną. Przecież wówczas było to doskonałe miejsce na egzekucje – swoisty koniec świata.

Na „Pożarach” rozstrzelano wiele osób, także narodowości polskiej. O egzekucje trzeba zapytać mieszkańców, nie mogą przecież milczeć.

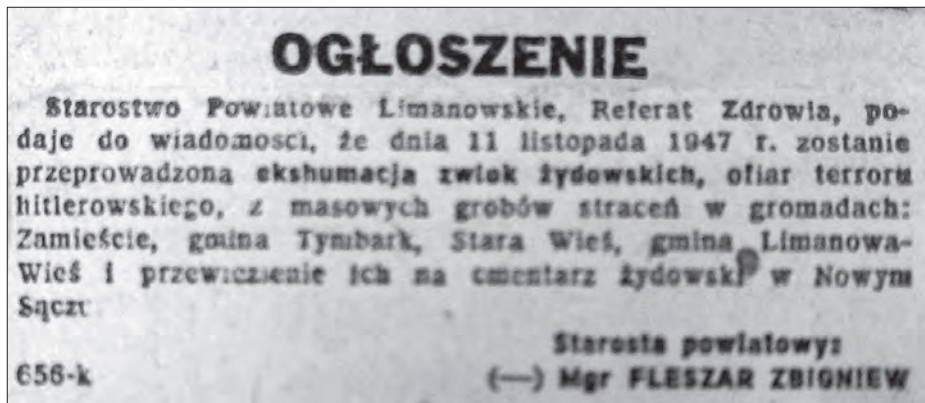
Ziemia usiana grobami

Ziemia limanowska wiele wycierpiała. Była miejscem bitwy w okresie I wojny światowej. Potem w mieście i okolicznych wioskach panowała bieda, typowa dla międzywojennych miast tej wielkości. Kolejna wojna nie zapisała się dobrze w pamięci mieszkańców. Starsi zgodnie nie chcieli się wypowiadać o działalności partyzantów, jakby ciągle się czegoś bojąc.

Najczęściej padały stwierdzenia „*A gdybyście przyjechali miesiąc, rok, tydzień wcześniej, to żył taki a taki*”. Nikt nie był nam w stanie powiedzieć cokolwiek o egzekucji. Mieszkańcy Starej Wsi wspominali mordy Polaków, a nawet bombę sowiecką wysadzoną w jednej z okolicznych paryj. O Żydach cisza, choć strzały podobno było słychać. Co do ekshumacji nie udało nam się zdobyć informacji – były czy nie były? W przypadku takiego zapomnienia, można byłoby śmiało twierdzić, że ciała nadal spoczywają w tamtejszych lasach. Tymczasem wydawało się to mało prawdopodobne, bowiem Kongregacja Mojżeszowa z Nowego Sącza dbała o najmniejsze szczegóły w tym względzie, nawet o przeniesienie pojedynczych grobów.

Zniechęceni jedziemy dalej, pod Ostrą. Koło grobów żydowskich ironicznie powiewają flagi po wyścigu samochodowym. Oddalamy się od miejsca egzekucji, więc szanse na znalezienie świadka są marne. Czasem jednak warto wierzyć w cuda.

„*Wszystko widziałem na własne oczy*



W „Echu Krakowa” z 29 października 1947 r. ukazało się ogłoszenie związane z ekshumacją Żydów rozstrzelanych w rejonie Limanowej.

i nigdy tego nie zapomnę” – mówi 86 letni Stanisław Jeż. Słońce praży, jest upał, a staruszek pracuje w polu. Na nasze pytanie ożywia się i zaczyna opowiadać. Być może jest jedynym żyjącym świadkiem wydarzeń z lata 1942 r.

Miał 11 lat. Wszyscy wiedzieli co się będzie działo, przecież grobów nie kopało się bez celu. Ludzie oczywiście nie mogli i nie chcieli interesować się planami okupanta. Młody Pan Stanisław z kolegami ustawili się w lesie i czekali. Rano przyjechały ciężarówki, z których wyrzucono kobiety i mężczyźni. Panowała cisza. Nagle Niemcy kazali się rozebrać wszystkim. Nad masowym grobem, który ciągnął się kilka metrów, przerzucono deskę. Żydzi wchodzili na nią w kilka osób (po cztery), a Niemcy strzelali – albo pojedynczo, albo seriami z karabinu.

„*Strasznie było słychać te strzały. A myśmy się tak bardzo bali*” – opowiada wzruszony Pan Jeż. Wszystko trwało do popołudnia, to była przemyślana, kilkogodzinna zbrodnia. Ze strachu nie został do końca, uciekł do domu. Wspomnienia zostaną z nim jednak do końca życia.

W Archiwum są inne relacje. Mówią o tym, że Żydom kazano się po 20 osób kłaść do grobu i strzelano do nich seriami. I tak po kolei. Kto wie – może tak było później? Może koło południa Niemcy zaczęli sobie „ułatwiać pracę”?

Ekshumacja

Widok polany jest na tyle wstrząsający, że nie sposób przejść obok. Kolejnego dnia trzymałem w ręce protokół z ekshumacji. Jak się okazało był przechowywany w Archiwum Narodowym w Krakowie Oddział w Nowym Sączu.

Główna Komisja Badań Zbrodni Hitlerowskich w swoim biuletynie przemilcza sprawę, co jest zupełnie niespodziewane. Dopiero później napisał do niej

Władysław Wietrzny, który opisał wszystkie zbrodnie w powiecie limanowskim. Wylicza, że 18 sierpnia 1942 r. w Starej Wsi rozstrzelano 205 osób. Inny świadek, który rzekomo liczył Ofiary podaje ich inną liczbę – 187. Prawdy zapewne nie dowiemy się nigdy.

Jakież zatem było nasze zaskoczenie, kiedy okazało się, że z masowych grobów wykopano 157 ciał. Jestem więc pewien, że w lesie na Pożarach spoczywa od 30 do nawet 50 ciał! Dlaczego nie ekshumowano wszystkich?

11 listopada 1947 r. do Starej Wsi przyjechali Żydzi, władze i wojsko. Z nieba leciały pojedyncze krople, wieczorem była już ulewa. Zapewne warunki atmosferyczne miały kolosalny wpływ na ekshumacje. Należy też pamiętać, że od zbrodni minęło przeszło 5 lat, a część terenu zarosła krzakami i młodymi drzewami. Warunki pracy nie były więc łatwe.

Dr Kazimierz Leśniakiewicz (lekarz powiatowy) i Leopold Biedroń (kontroler sanitarny) byli świadkami odkrycia pierwszego grobu. Jego rozmiary były spore: 8 m na 3,10 m. Głęboki był na 1, 20 m. Po określeniu miejsca pochówku, około 13:30 rozpoczęły się prace przy wydobywaniu pierwszych ciał. Pracowało przy nich 7 osób z Nowego Sącza i 5 Żydów z Krakowa.

Po odkryciu niewielkiej ilości ziemi okazało się, że na wierzchu spoczywa 5 ciał mężczyzn, w pełnym ubraniu. Zapewne byli to Żydzi, którzy zakopywali grób, a potem zostali rozstrzelani twarzą do ziemi. Resztę ludzi pochowano nago. „*Na ogół ciała były możliwie zakonserwowane na skutek mokrego terenu*” – pisał komendant MO w Limanowej. 20 ciał znajdowało się w totalnym rozkładzie, tak, że do trumien złożono jedynie kości.

Abraham Gotz, prezes Kongregacji Wyznania Mojżeszowego w Nowym



Zbiorowa mogiła Żydów ekshumowanych z terenu Pożarów na Starej Wsi na cmentarzu żydowskim w Nowym Sączu.

Sączu zadbał, aby pomordowanych pochować zgodnie z tradycją i religią. Zwłoki pomordowanych składano do trumien, łącznie z rzeczami, jakie znajdowały się w grobach. W protokole odnotowano, że pozostawiono także uzębienie złote i platynowe. Każda Ofiara została nakryta rytualnym płótnem długości 2 metrów.

O 21³⁰ przerwano prace, bowiem deszcz padał niemiłosiernie. Możemy sobie tylko wyobrazić warunki panujące na Pożarach – zimno, deszcz i ciemność. Tego dnia zasypano grób cienką warstwą ziemi i wapnem chlorowanym. 33 ciała złożono w 17 zaplombowanych trumnach i przewieziono na cmentarz żydowski w Nowym Sączu. Tam spoczywają do dziś.



Uszi Pilchick - rabin z Żydowskiej Gminy Wyznaniowej w Krakowie na limanowskim Kirkucie.

12 listopada, czyli kolejnego dnia, kontynuowano ekshumacje. Praca trwała od 7³⁰ rano do 20³⁰ wieczorem. Wydobyto 124 ciała i złożono je do 43 trumien. Wszystkie Ofiary zasypano w trumnie wapnem i również wysłano je autem ciężarowym na Rybacką w Nowym Sączu, na cmentarz żydowski.

Powyższe dokumenty jasno wskazują, że nie wszystkie ciała wykopano i przewieziono z Pożarów. Należy jeszcze doliczyć Ofiary egzekucji z 1941 r. – wówczas w tym samym miejscu rozstrzelano 167 Żydów, których nikt nie ekshumował (!).

Ta historia ma epilog w 2017 r. 70 lat po ekshumacjach, teren masowych grobów odwiedzili przedstawiciele Komisji Rabinicznej z Warszawy. Wstępne badania terenowe potwierdziły nasze przypuszczenia: pod samym lasem znajdują się miejsca, gdzie w czasie wojny ziemia była poruszana, prawdopodobnie kolejne groby.

Pamięć kontra zapomnienie

Nie ma gorszej śmierci niż zapomnienie. Przykre jest to, że nikomu nawet nie przyszło do głowy upamiętnienie tego miejsca. Okoliczni mieszkańcy wspominali Żyda, który na początku przemian ustrojowych chciał kupić ten teren pod upamiętnienie, ale właściciel nie chciał odsprzedać. Czy to prawda, czy kolejna legenda?

Pamięć jest naszym obowiązkiem, a to co wydarzyło się w Pożarach jest przestroga dla kolejnych pokoleń. Pozostaje

mieć nadzieję, że Władze Gminy, Powiatu i Miasta solidarnie włączą się w upamiętnienie, o jakie będziemy zabiegać. To nie tylko miejsce upamiętniające Zagładę, ale także wielki masowy grób.

Fotografie: arch. Łukasza Połomskiego, Stanisław Ociepka



Ewa Koper mówi o zagładzie Żydów w Bełżcu.

PS

W ramach obchodów 75. rocznicy likwidacji getta limanowskiego 10 sierpnia odbyły się uroczystości upamiętniające to wydarzenie. O godzinie 16⁰⁰ w Starej Wsi na Pożarach, po raz pierwszy od 75 lat w miejscu egzekucji limanowskich Żydów zapalono znicze i odmówiono modlitwę. Na limanowskim Kirkucie przy ulicy Kolejowej odbyła się międzyreligijna modlitwa prowadzona przez Uszi Pilchicką, rabina z Żydowskiej Gminy Wyznaniowej w Krakowie i ks. Bartosza Mizińskiego, wikariusza Bazyliki Matki Bożej Bolesnej w Limanowej.

Następnie w Muzeum Regionalnym Ziemi Limanowskiej odbyła się konferencja naukowa pn. „Zagłada limanowskich Żydów”. Referentami byli: Artur Franczak - dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Pedagogicznej w Nowym Sączu, który przedstawił temat „Mury getta”, Ewa Koper - pracownik merytoryczny Muzeum - Miejsca Pamięci w Bełżcu, mówiła na temat zagłady Żydów w Bełżcu. O zagładzie Żydów limanowskich mówili: Łukasz Połomski - nowosądecki historyk (autor artykułu), Magdalena Urbaniec - dyrektor limanowskiego Muzeum oraz Stanisław Rząsa - pasjonat historii dobrzańskich Żydów.

Kaplice bliźniacze przy bazylice limanowskiej

Józef Szymon Wroński

Wprowadzenie

W poprzednim wydaniu „Echa Limanowskiego”, pisałem o *Bazylice Limanowskiej jako klejnocie sztuki polskiej z początku XX w.*, zwracając uwagę na jej monumentalność, architektoniczną wyjątkowość, jej wartości symboliczne, artystyczne, ale przede wszystkim na materiał – na rustykalny kamień, w jaki została „ubrana” na zewnątrz – a więc w otulający ją kamienny, „barankowy” płaszcz. Obecnie przyszedł czas, by napisać o jej częściach składowych, jakimi są między innymi piękne dwie bliźniacze kaplice, znajdujące się po obu stronach korpusu nawowego bazyliki.

Co oznacza słowo kaplica i skąd się ono wywodzi pisałem m.in. w artykule zatytułowanym: *Limanowa – miasto kaplic*, zamieszczonym w „Mater Dolorosa” z roku 1994¹. Można było przeczytać tam również o kaplicach przydrożnych, przydomowych, przydworskich, nasłupowych, nadomowych i wielu jeszcze innych. O nich pisali także bp Piotr Bednarczyk, s. Agnieszka Bielińska, Jerzy Bogacz, Adam Mamak, Stanisław Ociepka, Małgorzata Palińska, Marek Pankiewicz, Zbigniew Sułkowski, Jan Uryga, Jan Wielek, ks. Stanisław Wojcieszak i wielu innych limanowian, interesujących się tym ciekawym, jeszcze nie do końca zgłębnionym tematem.

Obecnie zajmę się kaplicami bliźniaczymi przy bazylice limanowskiej, ich genezą, wartościami architektonicznymi i artystycznymi, bowiem zasługują one na odrębne potraktowanie. W artykule: *Bazylika limanowska jako klejnot sztuki polskiej z początku XX w.* można było przeczytać: „Po bokach korpusu nawowego [znajduje się] para bliźniaczych kaplic bocznych, nawiązujących do polskiego renesansu, wzorowane są one bowiem na kaplicy Zygmuntońskiej na Wawelu, nakryte kopułami, pokrytymi karpia łuską”².



Na odeskowanej kopułce kaplicy (przygotowanej do pokrycia) siedzą od lewej: ks. Kazimierz Łazarski, Wiktoria Zubrzycka, ??, Jan Śmierciak. Rok 1912. Fot. arch. albumu „Okruchy pamięci. Limanowa na starej fotografii”

Kaplice Wawelskie

Korpus nawowy bazyliki katedralnej na Wawelu otacza wieniec kaplic. Wszystkie są oryginalne, piękne, zawierają nagrobki, ołtarze, obrazy i inne wybitne dzieła sztuki, ale dwie z nich są wyjątkowe, gdyż są dziełami renesansowymi i wyszły spod ręki tego samego architekta Bartłomieja (Bartolomeo) Berrecciego (1480-1537), Włocha, pracującego we Florencji, a później w Krakowie. Najślawniejszą jest kaplica Zygmuntońska, zaprojektowana w 1516 r., zbudowana

w latach 1517-1533, ufundowana przez króla Zygmunta I Jagiellończyka (zwanego później Starym) po śmierci jego pierwszej żony Barbary Zapolya (w 1515 r.). Drugą jest kaplica bpa Piotra Tomickiego, zbudowana w latach 1530-1535, „będąca jakby redukcją mauzoleum królewskiego. Zlikwidował w niej [architekt] bęben, opierając kopułę wprost na żagielkach, nie wzbogacił wnętrza płaskorzeźbami, nie wprowadził również motywu łuku triumfalnego, przez co oderwał nagrobek biskupa od architektonicznych podziałów



Kaplica Zygmuntova na Wawelu w Krakowie.
Fot. <http://www.edupedia.pl>

ścian³. „Obie kaplice Berrecciego – pisał Adam Miłobędzki, wybitny znawca architektury polskiej – były licznie naśladowane w polskiej architekturze [...] wieku XVI, a zwłaszcza XVII⁴. Jerzy Z. Łoziński, po wnikliwie przeprowadzonych studiach i badaniach architektonicznych, stwierdził, iż w przeciągu ponad 100 lat [od renesansu po manierizm] powstało w kraju ponad 150 kaplic tego typu⁵. Kaplice takie, założone na planie kwadratu, zyskały w Polsce tak ogromną popularność i rozpowszechniły się do tego stopnia, że stały się „niemal synonimem architektury sarmackiej” – stwierdził Tadeusz Dobrowolski⁶.

Kaplica Zygmuntova, jako budowla centralna, założona jest na kwadracie. Składa się z czterech brył (jakby piramidalnie ustopniowanych): dolną część stanowi sześcian, na nim spoczywa ośmioboczny tambur – bęben, przeparty kolistymi oknami, na tamburze – kopuła, a na niej (kolista w rzucie) latarnia, wybiegająca w krzyż na kuli. „Będąc nie tylko tradycyjną formą grobowego mauzoleum, ale również najdoskonalszym, według poglądu humanistów, kształtem architektonicznym, pełnym filozoficzno-religijnych treści – symbolem łączności

między wszechświatem, stwórcą i naturą – konkludował Miłobędzki – miała przy tym służyć nie tylko chwale boskiej, ale i ludzkiej – królewskiego fundatora”⁷.

Mimo że te kaplice przy katedrze wawelskiej, jak również inne stawiane przez stulecia przy kościołach w całej Polsce, zaprojektowali w większości obcy architekci, to jednak – co podkreślał Zdzisław Mączyński – „twórczość ich pozostawała pod wpływem miejscowego »klimatu« architektoniczno-artystycznego, co łącznie z wykonawstwem przez polskich kamieniarzy i muratorów nadało budynkom cechy swoiste”⁸.

Znaczenie kaplicy Zygmuntovej na Wawelu

Kaplica Zygmuntova na Wawelu to najznakomitsze dzieło renesansu tokańskiego – florenckiego poza Włochami. Historyk sztuki August Ottmar Ritter von Essenwein (1831-1892) pisał, że jest to „najpiękniejsza kaplica renesansowa na północ od Alp”⁹. Kaplica ta tak zachwycała króla Zygmunta III Wazę, że kazał na jej wzór wybudować obok niej „lustrowane odbicie”. I tak też uczyniono, ale że czasy były trudne i w kasie królewskiej brakowało pieniędzy, a przede wszystkim złota, dlatego jedyną cechą zewnętrzną, która odróżnia ją od pierwowzoru, jest brak złota na kopule. Pierwowzór mógł błyszczeć i połyskiwać złotem tym bardziej, że była to złota epoka renesansu, gdy kaplica Zygmuntova powstawała. W następnej epoce, gdy budowano kaplicę Wazów 1664-1673 zmienił się gust. Dodatkowym powodem był czas kontrreformacji po Soborze Trydenckim 1545-1563, który mówił wyraźnie, że nie ważny jest zewnętrzny blichtr i blask, lecz wewnętrzny żar i dar rozpalania wiary, by pamiętać o śmierci zgodnie z kontrreformacyjnym zawołaniem *memento mori*, widniejącym na bramie wejściowej do kaplicy Wazów (wnętrze kaplicy – kończącej przez króla Jana II Kazimierza i bp. Andrzeja Trzebickiego – różni się zatem znacznie od prototypu)¹⁰.

Limanowskie kaplice bliźniacze



Kaplica św. Antoniego przed zmianą pokrycia kopuły.



Kaplica Najświętszego Serca Pana Jezusa.

Mączyński połączył oba typy – prosty typ kaplicy bpa Tomickiego (jak pamiętamy bez tamburu), nakrył kopułą i pokrył karpia łuską, co wywołuje jednoznaczne skojarzenia z królewską kaplicą Zygmuntową. Limanowskie kaplice bliźniacze mają świetne proporcje, dostosowane do proporcji korpusu kościoła. Przez wyciągnięcie ich sylwetek w górę, nakryciu ich kopułkami o organicznej, gruszkowatej czaszy i nadaniu zwieńczeniu latarń kształtu kielicha kwiatu, przybrały one formę zgodną z duchem

czasu. Wrażenie pędu w górę potęgują jeszcze mocne, pochyłe, niemal „gniotące” naroża skarpy, co jest wyraźnym odniesieniem się do form barokowych, tutaj zeswojszczonych i zbarbaryzowanych, jakby to fachowo określił Adolf Szyszko-Bohusz, bo – jak pisał – „A przecież te to barbarzyzmy droższymi być powinny dla każdego budowniczego Polaka niż najbardziej nawet skończone formy stylowe”¹¹. W takim zbarbaryzowanym na modłę swojską kostiumie kaplice limanowskie przypominają z kolei kaplicę Potockich przy kościele parafialnym Najświętszej Maryi Panny w Niepołomicach. Natomiast w układzie antytetycznym, mówiąc inaczej lustrzanym, usytuowane po obu stronach korpusu, nawiązują do założenia z 1. poł. XVII w. kaplic-mauzoleów rodu Sieniawskich w Brzeżanach na dawnych kresach Rzeczypospolitej (obecnie Ukraina, obwód tarnopolski)¹². W przerośni można by powiedzieć, iż przypominają one miły każdemu obraz *Caritas* – matkę z dwojgiem dzieci po bokach.

„Wnętrze kaplic – pisałem w monografii o bazylice limanowskiej – sprawia wrażenie przestrzeni uciekającej w górę. Nie zatrzymują jej nawet wątle linie gzymsów, pozorujących tambur, a światło wpadające z góry przez laternie w formie mini-tempietta, którego interkolumnia wypełnione są kolorowymi szybkami, sączy się przez szyjowy otwór, przechodząc w gładkie, elipsoidalne podniebienie, ślizga się po nim, oświetlając kolorowym światłem posecesyjną dekorację o motywach kwiecisto-ludowych. Witraże w kaplicy Najświętszego Serca Jezusowego, projektu Józefa Mehoffera, witraż św. Walentego, patrona Limanowej oraz witraż *Stany (mieszczkański i chłopski) składają hołd Opatrzności*, projektu Wincentego Gawrona w kaplicy św. Antoniego wraz z oryginalnymi ołtarzami, wykonanymi w masie betonowej przez Wojciecha Durka, dopełniają wystroju wnętrza obu kaplic”¹³.

Podsumowanie

„W swoim życiu – pisał arch. Zdzisław Mączyński w jednym z listów do ks. Kazimierza Łazarskiego, zamieszczonych



Zniszczony drewniany szkielet więzarów kopuły kaplicy św. Antoniego - lipiec 2017 r.



Pokrycie kopuły blachą miedzianą (imitacja karpiej łuski) - sierpień 2017 r.

w aneksie monografii o konkursie na projekt kościoła w Limanowej – choć pracowałem przy co najmniej 30 kościołach, żadnego tak nie opracowywałem, jak Limanowę”¹⁴. I to jest prawda. Nad projektem konkursowym architekt pracował od grudnia 1908 r. do kwietnia 1909 r. Z kolei nad projektem realizacyjnym od września 1909 r. do maja 1911 r. Patrząc na zamieszczone w poprzednim numerze „Echa Limanowskiego” ilustracje projektu

kościół limanowski, wykonane przez arch. Zdzisława Mączyńskiego, widzimy w projekcie konkursowym dwie różniące się od siebie kaplice, tzn. ta od strony południowej jest zamknięta wyobloną apsydą, północna z kolei ma rzut kwadratu i ujęta jest w narożach skarpami¹⁵. Gdy spojrzymy na projekt pokonkursowy z 17 lutego 1910 r., zauważamy znaczne już różnice w stosunku do projektu wyjściowego (konkursowego). Obie kaplice

na tym projekcie mają już rzut kwadratu, a ich kształt zbliżony jest do kaplic zrealizowanych. Opięte są wyraźnymi, wydatnymi, narożnymi skarpami i mają (w miejsce podłużnych otworów) okna koliste. Nie mają jeszcze kopuł, lecz nakryte są daszkami. Ostateczny kształt, czyli nakrycie ich kopułkami, uzyskały w 1911 r., gdy architekt Mączyński definitywnie zamknął pracę nad projektem realizacyjnym. Z tej analizy płynie prosty wniosek, że proces projektowania, by uzyskać najlepszą formę, trwał u architekta Mączyńskiego nieustannie, by wreszcie pod koniec dopracować się formy pełnej – doskonałej, nakrywając każdą z kaplic bliźniaczych kopułą na wzór kopuły kaplicy Zygmuntońskiej. Kaplica ta jako wzorzec dla architektury polskiej, powtórzony w kaplicy Wazów, był następnie powtarzany w wielu realizacjach i to w całej Polsce. Gdy w okresie zaborów poszukiwano form i struktur polskich, ów wzór odżył i był mile widziany, co poświadcza przykład kaplic bliźniaczych w Limanowej. W ten sposób stworzony został wzorzec z atrybutem „polski”, powtarzany także w okresie międzywojennym. Dla przykładu należy podać, że na wzorze limanowskim budowane były kościoły w najbliższej i dalszej okolicy i kaplice stojące przy nich. Z terenów bliższych wymienić należałoby kościół w Krasnem-Lasocicach (Ziemia Limanowska), gdzie przy kościele znajduje się podobna kaplica jak w Limanowej. Wymienić należy również kościół w Uściu Solnym (Ziemia Bocheńska), do korpusu którego w latach 1924-1926 dobudowano dwie kopułowe bliźniacze kaplice.

Dobrze, że kaplice limanowskie poddawane renowacji, w szczególności ich kopuły, co widzimy na zamieszczonym, porównawczym materiale ikonograficznym (archiwalnym i współczesnym), uzyskają nowe pokrycie, zabezpieczające je przed przeciekaniem podczas deszczów. Bezpieczeństwo to jedna strona medalu, a druga to pozostawienie kształtu i formy im przynależnej. Dlatego blacha miedziana, imitująca karpia łuskę, z jednej strony zabezpieczy kaplice, z drugiej zaś

oddadą dawny kształt „starego” pokrycia.

Kościół w Limanowej zarówno w swej zasadniczej monumentalnej bryle, jak i w swych uzupełniających ją komponentach (kaplicach, podcieniach, aneksach), nazywanych często „małą architekturą”, stanowi jed(y)ną i niepowtarzalną całość, którą winniśmy strzec, pielęgnować, bo jest to nasz skarb – klejnot sztuki polskiej. Z troską czynili to poprzedni proboszczowie, ks. prał. Ludwik Kowalski i ks. prał. Józef Poręba. Od 7 lat dba o to dziedzictwo kulturowe i narodowe obecny gospodarz kościoła, ks. proboszcz dr Wiesław Piotrowski, zatrudniając fachowców i konserwatorów, by zabezpieczyć kościół od wszelkich niebezpieczeństw i przywrócić mu dawny blask, o którym wprawdzie przed laty tu i ówdzie pisano i rozprawiano¹⁶, jednak nie do końca go rozpoznało, bo niewielu tę architekturę wówczas znało i rozumiało.

Zachował się z czasów międzywojennych artykuł prasowy, napisany przez nieznaną z nazwiska dziennikarkę, która odwiedziła Limanową i zwiedziła wówczas kościół; była zachwycona jego pięknem i szlachetnością architektury. Z niedowierzaniem i wyrzutem zapytywała wówczas: Czemu się o tym cudzie polskiej sztuki kościelnej na ogół tak mało wie, i czemu tak skromnie kryje się ta perła Sądecczyzny w potulnej Limanowej omal nieznana? Zachęcając do jego zwiedzania i podziwiania, konkludowała: Wstąpcie do Limanowej oglądać ten jedyny w swoim rodzaju dokument świetnego smaku artystycznego, a nie zapomnicie o nim na pewno nigdy. I duma słuszna was opanuje, że stać nas na rzeczy i wielkie i piękne i tak za serce ujmujące.

Tak, to bardzo ważna konkluzja, dająca nam Polakom poczucie własnej wartości i możliwości wyzbycia się niepotrzebnych kompleksów. Promujmy tę sztukę i architekturę swojską, bądźmy strażnikami tego dziedzictwa, poznając to przysłowiowe „swoje” między innymi przez pisanie artykułów i wydawanie książek, co czynił poprzedni, czyni obecny proboszcz, inni księża¹⁸, a także bp Piotr Bednarczyk i bp Andrzej Jeż – nasz rodak i ordynariusz tarnowski. Czytajmy te pozycje (także artykuły m.in. w prasie lokalnej: „Mater Dolorosa” i „Echu Limanowskim”), a wówczas nikt

nas nie zapyta z ogromnym zażenowaniem: *Czemu się o tym cudzie polskiej sztuki kościelnej na ogół tak mało wie* i nikt nam nie wytknie z wyrzutem napiętnowania: *Cudze chwalicie, swe go nie znacie ...*

Fotografie: Stanisław Ociepka

¹ J.Sz. Wroński, *Limanowa – miasto kaplic*, MD, R.XVII:1994, nr 2 (37), s. 29-33.

² J.Sz. Wroński, *Bazylika limanowska – klejnot sztuki polskiej z początku XX wieku*, EL R.XXV, nr 274-275 (Lipiec-Sierpień, s. 25).

³ A. Miłobędzki, *Zarys dziejów architektury w Polsce*, wyd. 3, Warszawa 1978, s. 123.

⁴ **A. Miłobędzki**, *Zarys dziejów architektury w Polsce*, *op. cit.*, s. 123.

⁵ **J.Z. Łoziński**, *Grobowe kaplice kopułowe w Polsce 1520-1610*, **Warszawa 1973, 101-171**.

⁶ T. Dobrowolski, *Sztuka Krakowa*, Kraków 1978, s. 314.

⁷ **Miłobędzki**, *Zarys dziejów architektury w Polsce*, *op. cit.*, s. 122.

⁸ **Z. Mączyński**, *Elementy i detale architektoniczne w rozwoju historycznym*, **Warszawa 1956, s. 195**.

⁹ *Cyt. za: A. Essenwein*, *Die mittelalterlichen Kunstdenkmale der Stadt Krakau*, **Leipzig 1869**.

¹⁰ T. Dobrowolski, *Sztuka Krakowa*, Kraków 1978, s. 323.

¹¹ A. Szyszko-Bohusz, „Styl nadwiślański”, „Architekt”, R.X:1910, z. 9, s. 132.

¹² *Zob. Mała encyklopedia sztuki polskiej*, **Kraków [b.r.w.]**, s. 25.

¹³ **J.Sz. Wroński**, *Bazylika Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej – Kościół-Pomnik Konstytucji 3 Maja – przykład stylu swojsko-narodowego*, **red. ks. prał. Józef Poręba**, **Limanowa 2001, s. 159**

¹⁴ *Bazylika Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej. Pasjonujące początki. Krakowski konkurs architektoniczny na projekt kościoła-pomnika Konstytucji 3 Maja [w Limanowej] 1908-1909*. Jedyny konkurs na projekt kościoła rozpisany i przeprowadzony przez Krakowskie Towarzystwo „Polska Sztuka Stosowana”, red. ks. prał. dr Wiesław Piotrowski, **Limanowa 2012**, s. 124.

¹⁵ *Bazylika limanowska – klejnot sztuki polskiej z początku XX wieku*, *op. cit.*, s. 24.

¹⁶ **J.Sz. Wroński**, *Bazylika Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej – Kościół-Pomnik Konstytucji 3 Maja – przykład stylu swojsko-narodowego*, **Limanowa 2001, s. 15-26**.

¹⁷ *Cyt. za: Kronika Parafii i Kościoła w Limanowej*, (wklejka artykułu prasowego).

¹⁸ Np. ks. Stanisław Wojcieszak, *Bazylika sanktuarijna świadectwem wiary i kultury [w:] Pani Nasza Limanowska. 50. rocznica koronacji limanowskiej Piety 1966-2016*, **Limanowa 2016**, s. 21-25. I inne jeszcze liczne dzieła, utwory i książki tego autora.

Jeszcze o rotmistrzu Witoldzie Pileckim, ale nie tylko... Dwa rodzaje patriotyzmu

*„Jeśli zapomnę o nich,
Ty, Boże na niebie,
zapomnij o mnie”.*

A. Mickiewicz

„Kiedy myślę: Ojczyzna, szukam drogi, która zbcza przecina jakby prąd wysokiego napięcia, biegnąc górą – tak ona biegnie stromo w każdym z nas i nie pozwala ustać” – oto słowa wypowiedziane przez Jana Pawła II. Ojczyzna – patria – stąd wywodzi się termin patriotyzm, słowo określające nasz stosunek do ziemi, która nas wydała, do jej historii, tradycji, do ludzi żyjących koło nas i z nami. Patriotyzm zatem to postawa łącząca miłość do kraju z obowiązkiem poświęcenia się dla niego. Na czym polega patriotyzm w czasie wojny, zdajemy sobie sprawę. Mieliliśmy niezliczone przypadki bohaterstwa, oddania życia w obronie granic Ojczyzny w czasie powstań, w okresie I i II wojny światowej.

Przykładem wyjątkowym, niecodziennym jest życie i działalność WITOLDA PILECKIEGO. Dlaczego postać ta budzi szczególne zainteresowanie? Na to pytanie spróbujemy sobie odpowiedzieć. Tragiczny dla Polski rok 1939 przyjął kształt podwójnej okupacji: niemieckiej i radzieckiej. Niemcy zaatakowali nasz kraj 1 września, sowiet 17. Rozpoczęła się druga jesień pod wrogim panowaniem, na wschodnich terenach groziła dzień i noc deportacja na Sybir, na zachodnich wywóz na roboty do Niemiec lub zsyłki do obozów koncentracyjnych. W pogodny dzień, 19 września 1940 roku podczas łapanki na warszawskim Żoliborzu, Witold Pilecki zaopatrzony w fałszywe dokumenty na nazwisko Tomasz Serafińskiego dał się aresztować Niemcom i wywieźć do Oświęcimia. Z jego strony było to działanie rozmyślane i zaplanowane. Czym podyktowane? Pilecki pochodził z rodziny patriotycznej, wzrastał w atmosferze takich wartości, jak: Bóg, Ojczyzna, Honor. Za swój obowiązek uważał wzięcie udziału w wojnie 1920 roku. Na wiadomość o napaści Niemiec na Polskę Pilecki wraz z podkomendnymi znalazł się w 19. Dywizji Piechoty. Brał udział w walkach pod Wolborzem, a następnie w okolicach Włodawy. Mimo przegranej nie złożył broni, wraz ze swymi ułanami prowadził walkę partyzancką do 17 października 1939 roku.

Ani on, ani wielu innych nie zaprzestali walki. W dniu 9 listopada w Warszawie

stał się współtwórcą wojskowej organizacji konspiracyjnej o nazwie Tajna Armia Polska [TAP]. Niebawem nastąpiły aresztowania i zsyłki do Auschwitzu. Wobec powyższego dowództwo TAP podjęło decyzję o przeprowadzeniu działań wywiadowczych na terenie obozu koncentracyjnego. Na ochotnika za zgodą Komendanta Głównego Związku Walki Zbrojnej gen. Stefana Roweckiego „Grota” zgłosił się Witold Pilecki, podobno z inspiracji mjr. Włodarkiewicza. Ileż trzeba było mieć odwagi, hartu ducha, by z własnej woli skazać się na pobyt w piekle hitlerowskim. W nocy z 21 na 22 września 1940 roku transport więźniów przybył na miejsce. Była to niesamowita noc, stłoczeni w pociągu, pełni złych przeczuć, głodni, spragnieni, opadający z sił ludzie bez winy, kobiety, mężczyźni, starzy i młodzi, wśród nich Pilecki. Wraz z nim dotarło 1705 osób. Na miejscu otrzymał numer 4859. Od początku, to jest od chwili wyładowania na rampie, do ostatniego dnia pobytu w obozie stał się bystrym obserwatorem tego wszystkiego, co działo się wokół. Pierwszą wiadomość dotyczącą warunków życia i pracy w Oświęcimiu przesłał rotmistrz Pilecki do Warszawy stosunkowo szybko, bo w październiku 1940 roku, równocześnie rozpoczął organizowanie wśród więźniów Związku Organizacji Wojskowej. Sukcesywnie przekazywano z tej działalności raporty do Głównej Komendy Armii Krajowej, a stamtąd za granicę. Co było zadaniem

tej organizacji? Podtrzymywanie więźniów na duchu, pomoc materialna, przekazywanie wiadomości nadrzędnym czynnikom, a przede wszystkim zbrojne opanowanie obozu. Zamiar uwolnienia więźniów Komenda Główna AK uznała za niemożliwy do wykonania. W związku z powyższym Pilecki zaplanował ucieczkę. Towarzyszyli mu w niej Edward Ciesielski i Jan Redzej. Dokładnie opracowali szczegółowy plan, zdawali sobie sprawę z tego, że muszą pokonać około 110 km z Oświęcimia do Bochni. Na ten temat nadzwyczaj wnikliwie, w oparciu o źródła, wypowiada się Stanisław Kobiela w artykułach umieszczonych w kwartalniku „Wiadomości Bocheńskie” [nr 4 – 2011 r., nr 4 – 2015 r., nr 1,2,3,4 – 2016 r.] Na przestrzeni ponad trzydziestu stron autor daje dokładny i szczegółowy opis trasy ucieczki, zagrożenia, zmęczenia, ale i hartu, siły woli uciekających, przybliża też ludzi, którzy udzielili wsparcia więźniom ratującym się przed śmiercią. Był 1943 rok, 1 maja, kiedy uciekinierzy dotarli do Bochni, na ulicę Sądecką 30. W domu rodziny Oborów, teściów Edmunda Zabawskiego, również więźnia oświęcimskiego, znaleźli nie tylko schronienie, ale przede wszystkim serce. Rodzina ta, poczuwając się do obowiązku patriotycznego, robiła wszystko, by stworzyć uciekinierom warunki do życia i uchronić ich przed niebezpieczeństwem. Nie tracąc czasu rotmistrz Pilecki, dzięki pomocy innych, dotarł do Nowego Wiśnicza, by skontaktować się z dowódcą miejscowej placówki AK. Na temat tego spotkania, między innymi, Marco Patricelli, autor książki „Ochotnik” sugeruje, że mogło wyglądać tak: „Pilecki przedstawia się swoim obozowym nazwiskiem Serafiński. Komendant podskakuje na krześle – Ja też jestem... Ale ja jestem Tomasz. – Ja też jestem Tomasz – Ale ja jestem [] To są



Tablica pamiątkowa poświęcona rtm. Witoldowi Pileckiemu, ufundowana przez byłego więźnia KL Auschwitz Wincentego Gawrona, odsłonięta i poświęcona w Katedrze Polowej Wojska Polskiego w Warszawie 11 listopada 1990 roku.

moje dane! – Tak, to są pana dane, lecz ja przeżyłem pod nimi znacznie więcej”. Rzeczywiście Pilecki przez dwa lata i siedem miesięcy był Tomaszem Serafińskim, nosił nazwisko właściciela Koryznówki.

Małżeństwo Serafińskich z nadzwyczajną serdecznością zaopiekowało się zbiegami, dając im pod własnym dachem schronienie na dłuższy czas, nie bacząc na niebezpieczeństwo ze strony okupanta. Obecnie upamiętnia to tablica osadzona na bloku kamiennym usytuowanym obok domu. Następstwa tego niecodziennego spotkania były niestety tragiczne. Dnia 25 grudnia 1943 roku Tomasz Serafiński, jako rzekomy ucieknie- r z obozu, został aresztowany. W więzieniu w Bochni, następnie w Krakowie

bity i katowany, ostatecznie dzięki zeznaniu świadków, że nigdy nie był w obozie, wypuszczony na wolność ciężko chory, nigdy już nie odzyskał zdrowia.

A jakie były dalsze losy bohatera z Oświęcimia? Brał udział w Powstaniu Warszawskim, po jego upadku znalazł się w obozie jenieckim, następnie został oficerem Oddziału II Korpusu Polskiego. Do kraju przybył w październiku 1945 roku, by nadal działać w konspiracji. Aresztowany, osądzony, został skazany na karę śmierci. Wyrok wykonano 25 maja 1948 roku w „wolnej Polsce”. Tak zginął niezwykły bohater, patriota w całym tego słowa znaczeniu, człowiek, który bez reszty całe życie poświęcił sprawie Ojczyzny.

Pamięć o nim trwa i trwać będzie. W tym miejscu należałoby przytoczyć i zapamiętać słowa Jana Sobolewskiego z III cz. Dziadów Adama Mickiewicza: „Jeśli zapomnę o nich, Ty, Boże na niebie, zapomnij o mnie”.

Przed kilku laty w Bochni, na ścianie domu należącego do Bochniaków, odsłonięto tablicę o następującej treści „Rotmistrzowi Witoldowi Pileckiemu 1901 – 1948 – w hołdzie Stowarzyszenie Bochniaków – wrzesień 2006”.

W ostatnich tygodniach w Miejskiej Bibliotece w Bochni pracownik IPN-u wygłosił prelekcję o Witoldzie Pileckim. Zaskoczeniem dla mnie i nie tylko dla mnie, był fakt, że pominięto epizod dotyczący ucieczki z Oświęcimia, pobytu bohatera w Bochni oraz w Nowym Wiśniczu, udzielenia pomocy ze strony rodziny Oborów oraz właścicieli Koryznówki. Tym bardziej byłam zdumiona, gdyż na sali byli obecni: Córka Tomasza Serafińskiego, Maria Domańska, kustosz Domu Matejki, Stanisław Kobiela, autor licznych artykułów o Pileckim i Zofia Wiśniewska, siostrzenica Wincentego Gawrona przebywającego w tym samym czasie co Witold Pilecki w obozie. Ich wypowiedzi nie tylko mogłyby uwiarygodnić historię tego bohatera, ale zainteresować tych, którzy nie zdają sobie sprawy z tego, dzięki komu i dzięki czemu uzyskaliśmy ostatecznie niezależność i wolność w całym tego słowa znaczeniu.

W ciągu lat udowadniali to autorzy bibliograficznych pozycji: Adam Cyra, pracownik naukowy Państwowego Muzeum w Auschwitzu jako pierwszy wydał książkę „Rotmistrz Witold Pilecki,” również inni pisali np. Jacek Pawłowicz „Witold Pilecki”, Andrzej Pilecki „Śladami mego Taty”, Witold Pilecki „Raport”, Wincenty Gawron, „Ochotnik do Oświęcimia”.

Po roku 1989 wiele miast w Polsce dla uczczenia zasług i bohaterstwa tego nieprzeciętnego człowieka, niezłomnego żołnierza nadało jego imię szkołom np. w Jodłówce, ulicom – również w Bochni – osiedlom, skwerom. Adam Cyra, który opracował „Raport W.”, we wstępie napisał: „Ponadto od końca lat osiemdziesiątych ukazało się do obecnej chwili [1991] wiele artykułów prasowych, informacji w publikacjach książkowych, popularyzujących heroiczne czyny i tragiczne powojenne losy więźnia oznaczonego kiedyś w KL Auschwitz numerem obozowym 4859. ▶

▶ Witold Pilecki pośmiertnie został wielokrotnie odznaczony: w 1986 roku otrzymał Order Żelaznej Gwiazdy Wytrwałości, w dwa lata później przyznano mu Krzyż Oświęcimski, w 1990 Warszawski Krzyż Powstańczy, w 1995 Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski, w 2006 Order Orła Białego. Ostatnio pamięć o naszym bohaterze ożyła, wpłynęła na to ekshumacja w zbiorowej mogile na Łączce. Kwatery na Łączce przy murze Cmentarza Wojskowego na Powązkach w Warszawie kryje zwłoki pomordowanych w latach 1945 – 1956 przez pracowników Urzędu Bezpieczeństwa. Grzebiąc zamordowanych żołnierzy, starali się ukryć ślady swej zbrodni. Ekshumacja trwa, a zainteresowani mają nadzieję, że odnajdą szczątki Żołnierza Niezłomnego-Witolda Pileckiego.

Niech opinia autora książki „Rotmistrz Witold Pilecki – 1901 – 1948”, Jacka Pawłowicza stanowi ostateczne podkreślenie zasług tego bohatera „Postać rotmistrza Witolda Pileckiego jest symbolem ofiary poniesionej przez społeczeństwo polskie w obu okupacjach – niemieckiej i sowieckiej. Symbolem, tym bardziej wyrazistym, że, jako niekwestionowany bohater walki o niepodległość z okupantem niemieckim, został przez reżim komunistyczny uznany za zdrajcę i zbrodniarza.” Autorem jednej z książek o Pileckim jest także WINCENTY GAWRON. Kim był i co o nim wiemy? Sporo wiadomości przekazuje w swoich artykułach wydawanych w „Echu Limanowskim” jego siostrzenica Zofia Wiśniewska, mieszkanka Bochni, polonistka i długoletnia pracownica resortu oświaty. Poza tym o wspólnym pobycie z Witoldem Pileckim w obozie koncentracyjnym pisze sam Gawron na przestrzeni 300 stron we wspomnieniach pt. „Ochotnik do Oświęcimia.”

Wincentego Gawrona wydała Ziemia Limanowska. Niezwykle utalentowany plastycznie studiował na ASP grafikę. Malarz, grafik, witrażysta w czasie wojny i okupacji nie zaprzestał pracy artystycznej, ale przede wszystkim działał w konspiracji. Już w listopadzie 1939 roku wstąpił do Związku Czynu Zbrojnego. Tego typu działalność patriotyczną uważał za swój podstawowy obowiązek. Niestety wkrótce nastąpiły aresztowania i zsyłka do Oświęcimia. Od 5 kwietnia 1941 roku został więźniem obozu koncentracyjnego, prawie równocześnie z Witoldem Pileckim. Od tej pory ich losy toczyły się równoległym torem: był jednym z nielicznych, którym udało się uciec z obozu,

uczestniczył w Powstaniu Warszawskim, tak jak Pilecki, następnie został żołnierzem 2. Korpusu gen. Andersa.

Kiedy znalazł się w obozie, poznał Pileckiego, który przybył tam kilka miesięcy wcześniej. „Wincenty Gawron – pisze Zofia Wiśniewska w artykule „Ucieczki z obozu zagłady” opublikowanym w sierpniu 2016 roku w Echu Limanowskim – zaprzyjaźnił się z Witoldem Pileckim, co w warunkach obozu koncentracyjnego zdarzało się rzadko, a w dodatku przyjaźń w warunkach tak ekstremalnych nie ma nic wspólnego z przyjaźnią na wolności”. Potwierdza to on sam w swoim pamiętniku: „Spałem z nim na jednym sienniku. To on umożliwił mi ucieczkę”. Nieco dalej pisze: „Nie wszystkie opowieści Tomka [Pileckiego] odbyły się na naszym wspólnym sienniku. Pewnego dnia zaprowadził mnie na plac budowy. Wdrapaliśmy się na szczyt budynku, gdzie wsłuchiwałem się w najważniejszą, konspiracyjną część jego wspomnień”.

Podobieństwo losów tych dwu bohaterów, to, że obaj ofiarnie walczyli za Polskę, cierpieli, narażali się, przebywali w obozie i więzieniach, miało swój kres w momencie zamordowania Porucznika Pileckiego. Po zakończeniu wojny Wincenty Gawron wyjechał do Stanów, gdyż nie było dla niego miejsca w Polsce Ludowej. W dalszym ciągu nie przestał jednak myśleć o Ojczyźnie. Jego patriotyzm czasów pokoju przybrał inny kształt niż okresu poprzedniego.

Chcąc uczcić swego współtowarzysza niedoli, szlachetnego człowieka oraz wyjątkowego patriotę zaprojektował i ufundował tablicę upamiętniającą postać oraz zasługi Rotmistrza Witolda Pileckiego. Tablicę odsłonięto w warszawskim Kościele Garnizonowym w 1990 roku. Na tle Orła w koronie widnieje postać bohatera w stroju więziennym z numerem obozowym i podpisem – Ochotnik do Oświęcimia. Obok nazwiska oraz daty urodzenia i śmierci dedykacja: „Ku czci Bohatera XX wieku – Naród, Rodzina, Akowcy”. W tym samym roku wyszła z druku książka – wspomnienia „Ochotnik do Oświęcimia”. Ilekroć Wincenty Gawron odwiedzał swą Ojczyznę, zawsze był w domu żony przyjaciela Marii i syna Andrzeja Pileckiego.

Pasją jego było zbieractwo. Zofia Wiśniewska, autorka wielu artykułów o nim tak się wypowiada na ten temat: „Zaczął je zbierać na długo przed II wojną światową. Orzełki, szable, mundury,

hełmy, odznaki pułkowe, stare fotografie legionowe, naramienniki i inne żołnierskie akcesoria” – stanowiły cały jego świat. Jego zbiory stały się załącznikiem Muzeum Ziemi Limanowskiej. Będąc w Stanach odkupował mundury, szable, odznaki. Swoje oszczędności i odszkodowanie za pobyt w Oświęcimiu przeznaczył na otwarcie pierwszego prywatnego Muzeum Wojska Polskiego im. Marszałka Piłsudskiego w Chicago. Był rok 1971. Kiedy w dwa lata później wybrał się do Polski, przyjazd ten przypłacił konfiskatą części zbiorów, które przywiózł i sześciomiesięcznym pobylem w więzieniu. Nigdy jednak nie zrezygnował z działalności patriotycznej. Organizował wystawy związane z ważnymi datami historycznymi, które cieszyły się powodzeniem wśród Polonii. Wykorzystywał też swe uzdolnienia jako rzeźbiarz, grafik i malarz. Wykonał, między innymi, projekt strony awersowej medalu Milenijnego 1966r., wybitego dla uczczenia 1000-lecia Państwa Polskiego oraz strony frontowej medalu Bitwy o Monte Cassino [1969 r.].

Wśród zasług Wincentego Gawrona było też utrwalenie w formie literackiej pewnych przeżyć i refleksji. Spod jego pióra wyszły opowiadania, powieści, wspomnienia np. o Pileckim, Oświęcimiu, o latach 1914 – 1940. Jego talent zawsze pozostał w służbie Boga i ludzi. Z okazji 200. rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja zaprojektował witraż poświęcony Matce Bożej Bolesnej do bazyliki limanowskiej.

Cały czas miał świadomość, że jego Ojczyzna w ciągu tysiącletniego istnienia wielokrotnie przeszła swoją Golgotę. Szczególnie w czasie II wojny światowej walcząc samotnie o swą egzystencję, o swe granice i miejsce w historii przeżyła bolesną Drogę Krzyżową. Ta myśl, która towarzyszyła przez lata naszemu bohaterowi zaowocowała cyklem obrazów o takim właśnie tytule: „Polska Droga Krzyżowa”. Rozpoczyna ją obrazem „Polski Wrzesień”, ukazującym płonące domy, uciekających ludzi, przydrożny krzyż z Chrystusem, u stóp którego leży zabity żołnierz polski. Ostatnim z cyklu jest obraz z Papieżem – Polakiem, „Zwycięstwo prawdy – plon pracy Ojca Świętego Jana Pawła II”.

Wincenty Gawron zmarł w 1991 roku, w czasie swego pobytu w Polsce, prochy jego złożono w ziemi, którą ukochał. Tak odszedł patriota z czasu wojny i patriota czasu pokoju, dnia codziennego. Pozostała po nim pamięć.

Historia Juliana Tomeckiego „Brzozy”

Sierpień 2013 roku. Siedzę w pokoiku na poddaszu jednego z domów położonych w malowniczej miejscowości Dobra na Limanowszczyźnie. Przez okno widok na Ćwilin, drugi co do wielkości szczyt w Beskidzie Wyspowym. Rozmawiam z Julianem Tomeckim „Brzozą” – jednym z ostatnich żyjących żołnierzy 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK. Historia jego życia nadawałaby się na niejeden scenariusz filmowy. Człowiek skromny, z niesamowitą pamięcią, dystansem do samego siebie i dowcipem, którego można mu tylko pogratulować i pozazdrościć.

Na beskidzkiej wsi

Ojciec Juliana, Antoni, pochodził z Tuszowa Narodowego na Podkarpaciu, z rodzinnej miejscowości gen. Władysława Sikorskiego. W czasie I wojny światowej został zmobilizowany do armii CK. Walczył m.in. na froncie na Bałkanach. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej, a wraz z zakończeniem działań wojennych otrzymał posadę jako funkcjonariusz policji państwowej w Łukowicy (pow. limanowski). Tam też założył rodzinę. 6 lutego 1925 roku na świat przyszedł najstarszy syn Antoniego, Julian.

W latach trzydziestych Antoni Tomecki został przeniesiony do Dobrej. Mały Julian, jak sam wspominał, już na co dzień miewał do czynienia z bronią. Jako młodzieniec brał udział w ćwiczeniach miejscowego „Strzelca”. Tam też poznał nauczyciela, Jana Grzywacza, który był powiatowym komendantem

związku strzeleckiego. Ćwiczenia były organizowane na polach naprzeciw posterunku w Dobrej. W domu, gdy ojciec wracał po służbie i kładł się na krótką drzemkę, Julian zabierał broń ojca, często przy niej majsterkując. *Ojciec był służbiście, jak zarobiłem, to był pas policyjny w robocie. Mama mnie broniła jak zbroiłem coś, no jak to mama – wspominał po latach.* W wolnej chwili od nauki, zajmował się wieloma innymi rzeczami, m.in. był znakarzem przedwojennych szlaków turystycznych w Beskidzie Wyspowym.

Wrześniowa gehenna

1 września 1939 roku – wybuch wojny. Dobra znajdowała się blisko nadciągającego frontu. *Przed wojną byłem zmobilizowany około 20 sierpnia do obszerwacji samolotów, ćwiczeń z maskami gazowymi.* – wspomina Pan Julian. – *2 września, w nocy ojciec przyszedł ze służby. Mówi: „Musicie uciekać”. Zaczęła się*



Kpr. Julian Tomecki „Brzoza” w szeregach 1. psp AK. Fot. ze zbiorów autora.

ucieczka mojej rodziny, kierownika szkoły Wójcika, komendanta strzelca z Dobrej. Wolne furmanki ułożyli, pakowaliśmy. Ojciec wziął mnie na bok. Mówi: „Masz pilnować mamy”. No i koniec, więcej go już nie widziałem. Tomeccy przebywali od września do listopada u dziadków w Tuszowie Narodowym, po czym powrócili do Dobrej. Antoni Tomecki, policjant posterunku w Dobrej, w drugiej połowie września dostał się do niewoli sowieckiej. Osadzony w obozie jenieckim w Ostaszkwie. Zginął, rozstrzelany przez Sowieców w czasie masowych egzekucji przeprowadzanych na wiosnę 1940 roku w Kalininie. Zamordowanych grzebano w masowych grobach 25 km od Tweru.

Zaczęła się okupacja, trzeba było jakoś żyć. W regionie powstawały zręby konspiracji. Do wstąpienia do podziemia namówił Tomeckiego kolega. Julian nie bardzo wiedział jak to wszystko się potoczy, była druga połowa 1942 roku. Młodość nie wybacza różnych czynów i występków, za które prędzej czy później ponosi się konsekwencje. Wraz z kolegą na własną rękę dokonali kradzieży świnii miejscowemu volksdeutschowi. ▶



Partyzanci OP AK „Wilk” w 1944 r. Pierwszy z lewej Julian Tomecki „Brzoza”. Fot. ze zbiorów Muzeum AK w Krakowie.

► Mięso miało iść „na cele organizacji”. Na ich trop szybko trafiła miejscowa policja, zatrzymano pierwszych zamieszanych w akcję konspiratorów. Niemcy przyjechali także po Tomeckiego, zdołał jednak w ostatniej chwili uciec. Od 17 listopada 1942 roku ponad rok ukrywał się u rodziny i znajomych, starając się przeżyć. Pod koniec 1943 roku za pośrednictwem żołnierzy miejscowej placówki nawiązał kontakt z partyzantami.

W oddziale partyzanckim AK „Wilk”

Nie pamiętam, gdzie i kiedy dołączyłem do oddziału. Pamiętam, że chciałem wszystko wyjaśnić dowódcy oddziału por. [Krystynowi Więckowskiemu] „Zawiszy”. Mówiłem i machałem rękami, a porucznik opieprzył mnie i przywołał do porządku. Dopiero się dowiedziałem co to jest wojsko w lesie – wspominał. Do oddziału na dobre trafił pod koniec lutego 1944 roku. Przyjął pseudonim „Brzoza”. Był to fatalny okres dla OP „Wilk”. Oddział rozbitý po grudniowej tragedii pod Czerwonym Groniem, przygotowywał się do akcji na posterunek policji „granatowej” w Ochotnicy Dolnej. Była to jego pierwsza akcja bojowa. Niestety następnego dnia w wyniku wymiany ognia na Przysłopie nad Szczawnicą, między partyzantami a Niemcami, śmierć poniosło pięciu żołnierzy AK. Przysłopu uniknąłem, ponieważ brano sprawdzonych żołnierzy, którzy mieli narty. A ja dopiero wchodziłem do oddziału i nie miałem nart – wspominał Pan Julian.

Oddział się powiększał, czasowo jego szeregi zasilili również jeńcy alianccy, zbiegli z niemieckiej niewoli – Kanadyjczyk Hubert Brooks oraz Szkot John Duncan. Tak ich charakteryzował: *John to był taki człowiek, miałem czapkę narciarską przedwojenną na głowie i przyszyłem sobie orzełka, no i Johna to wkurzyło. Zabrał mi tę czapkę, położył na pniaku, wziął sobie mannlichera i strzelił w tego orzełka. To był John... Później na akcjach miałem go [orzełka] naszytego na furazerce, rogatywce – nie było go tak bardzo widać jak na narciarskiej czapce, na której błyszczał z daleka.* „Brzoza” brał udział 23 czerwca 1944 r. w zaozycznym kursie młodszych dowódców na Prehybie. Awansowano go wówczas na starszego strzelca. Wśród kolegów z oddziału wspominał: Włodzimierza Dmytryszyna „Tomka”, Bronisława



Partyzanci OP AK „Wilk” w obozie na Mogielicy w 1944 r. Pierwszy z prawej Julian Tomecki „Brzoza”. Fot. ze zbiorów Jerzego Krzewickiego.

Fołwarskiego „Kaktusa”, Stanisława Szkaradka „Zawrata”, Stanisława Fedko „Wikłę” oraz Bronisława Franczyka „Satyra”.

Gdy rozpoczęła się akcja „Burza” razem z kolegami z oddziału brali udział w rozbrojeniu posterunku żandarmerii niemieckiej w Kamienicy, a 16 sierpnia 1944 roku w Kasinie Wielkiej „Brzoza” brał udział w akcji dywersyjnej na stację kolejową. Po latach wspominał, że zapadł mu w pamięci poległy wówczas w walce Stanisław Cetnar „Tropiciel”.

Dzień z życia partyzanta

Pod koniec września 1944 roku powstał 1. Pułk Strzelców Podhalańskich AK. W jego skład wszedł także oddział

partyzancki AK „Wilk”, stając się częścią I batalionu pułku. „Brzoza” wspominał, że wówczas wraz z kolegami stacjonowali w rejonie Mogielicy, gdzie mieli swój obóz oraz dobrze ukryte przed okupantem meliny. Bardzo dobrze zapamiętał swojego dowódcę, cichociemnego ppor. Feliksa Perekladowskiego „Przyjaciela”, z którym brał udział w niejednej akcji. Kiedy zapytałem, jak wyglądał dzień z życia partyzanta w tamtym czasie, po dłuższej chwili odpowiedział: *Na melinie u Florka pobudka rano wstać! Wartownik, niewyspany, za wcześnie, za późno. Umyć się, wygolić. Do modlitwy! Szef oddziału wydaje komendę do modlitwy. Modlitwa: Ojcze nasz, zdrowaś i wszystkie nasze*



Partyzanci OP AK „Wilk” w obozie na Mogielicy w 1944r. Od lewej: NN., Julian Tomecki „Brzoza”, Bronisław Folwarski „Kaktus”, Antoni Radoń „Niedźwiedź”. Fot. ze zbiorów Jerzego Krzewickiego.

dzienne sprawy. Apel przed wymarszem, odlicz! Ilu nas jest. „Kaktusa” mogło nie być, mógł zaspać u przyjaciółki. Żona meliniarza gotowała czarną kawę. Co się jadło? Ziemiaki, żur z owsa, mięso z polowań – a było i takie śniadanie, że nie było co jeść. Ze Szlachtowej z magazynu mieliśmy cukier w kostkach i mieliśmy śniadanie... Iles chciał, tyleś mógł zjeść, tylko że następnego dnia piłeś tylko gorzką herbatę jak była. Za karę nosiło się kocioł na strawę, albo skrobało się ziemniaki – a było ich dużo i strasznie małe. Kolarcja późno, po godzinie policyjnej, zależy gdzie. Modlitwa – Wszystkie nasze dzienne sprawy. Warta w nocy. Warta o zmianie posiłków. Dwie godziny warta, dwie godziny czuwania i sen.

„Brzoza” pod koniec 1944 roku znajdował się wraz z żołnierzami I batalionu w rejonie Mogielicy, przy odbiorze zrzutów na Polankach Szczawskich nie brał udziału. Miał już wówczas stopień kaprała, dowodził jedną z drużyn w 1. kompanii I batalionu. W wolnej chwili od udziału w akcjach pełnił służbę wartowniczą. Partyzancką powinnością było nie tylko chodzenie z bronią przy pasie, ale i wykonywanie rozkazów przełożonych, a te czasami dotyczyły sumienia, powodowały rozterki, wątpliwości – czy żołnierza konspiracji obowiązuje piąte przykazanie z dekalogu?

Druga tożsamość

W styczniu 1945 roku po rozwiązaniu Armii Krajowej i „urlopowaniu” żołnierzy 1. psp AK przez mjr. Adama Stabrawę „Borowego”, „Brzoza” ukrywał się u krewnych i znajomych w rejonie Kiczni, Łukowicy i Jastrzębia. Na początku maja 1945r. Julian wraz z dwoma kolegami wyjechał „na zachód”, do Katowic. Tam spotkał przypadkiem swojego byłego dowódcę, ppor. Perekładowskiego, który opuszczał kraj. Ze swojej działalności w AK ujawnił się w Krakowie 12 października 1945 roku. *Na Śląsku pracę w rozlewni win zagwarantował nam inż. Józef Marek, poseł z SL, a w konspiracji „Lanca”. Pracowaliśmy w rozlewniach należących do Spółdzielni Owocarskiej w Tymbarku w Katowicach, w Świętochłowicach, we Wrocławiu, w Nysie, a w końcu w fabryce konserw w Raciborzu.* Julian cały czas posiadał przy sobie „lewe” dokumenty na nazwisko „Zygmunt Malinowski”. Nie rozstawał się też z pistoletem. Pewnego dnia został ostrzeżony przez znajomych, żeby nie wracał do Dobrej, ponieważ go tam szukają. Był czas głębokich czystek stalinowskich, które w szczególnie brutalny sposób dotyczyły żołnierzy Armii Krajowej i antykomunistycznego podziemia. Przez 5 lat od zakończenia wojny nie posiadał stałego zameldowania, często zmieniając pracę i miejsce zamieszkania. Upłynęło sporo czasu zanim mógł wrócić w rodzinne strony. Dopiero po 1956r. w czasie tzw. „odwilży” Julian powrócił do swojego prawdziwego nazwiska, ukończył korespondencyjnie Technikum Rolnicze w Nakle, a w 1971 r. zootechnikę na ówczesnej Wyższej Szkole Rolniczej w Krakowie. W latach zawodowej pracy był związany z tuczarniami i zakładami mięsnymi na Śląsku. W latach osiemdziesiątych brał udział w tworzeniu i działalności struktur „Solidarności” w swoim zakładzie pracy. W czasie stanu wojennego zatrzymany. W 1988r. Julian Tomecki przeszedł na emeryturę, mimo to był nadal aktywny zawodowo. Jeszcze w latach osiemdziesiątych zdobył uprawnienia i pracował jako rzeczoznawca szkód górniczych aż do 1995r.

Drewniane „empi”

Po 1989r. Julian Tomecki aktywnie angażował się w działalność kombatancką, najpierw w Światowym Związku Żołnierzy Armii Krajowej – koło w Gliwicach a od 1996r. jako członek SZŻAK – koło



w Dobrej. Od 2003.r pełnił funkcję prezesa koła. Do czasu, kiedy zdrowie mu na to pozwalało, brał udział w corocznych odpustach partyzanckich w Szczawie, gdzie mógł spotkać swoich kolegów z 1. psp AK.

Nasze kolejne spotkanie i rozmowa dobiega końca. Na stole mnóstwo materiałów, książek. A jest jeszcze tyle pytań, wątpliwości, niedokończonych rozmów. Na pożegnanie Pan Julian zaprasza na kolejne spotkanie. *Zostały mi wspomnienia i moje drewniane „empi”* – żartując wskazuje na drewnianą łaskę opartą o szafę.

Julian Tomecki „Brzoza” zmarł 2 stycznia 2014r. Spoczywa na cmentarzu parafialnym w Dobrej. Był ostatnim żołnierzem 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK, wywodzącym się z Ziemi Limanowskiej. Za swoją służbę w szeregach Armii Krajowej został odznaczony w styczniu 1945r. na rozkaz dowódcy 1 psp AK: Krzyżem Walecznych oraz Srebrnym Krzyżem Zasługi. A w 1990r. Krzyżem Armii Krajowej – (Londyn 9. 05. 1990) i Medalem Wojska Polskiego – (Londyn 6. 03. 1990) oraz licznymi pamiątkowymi odznaczeniami za działalność kombatancką w Światowym Związku Żołnierzy Armii Krajowej.

Wykorzystano materiały z wywiadów przeprowadzonych z Julianem Tomeckim w sierpniu 2013 r. (Ze zbiorów autora).

Informacje na temat szczegółowych losów rodziny Tomeckich uzyskane na podstawie maszynopisu: „Rodzina Tomeckich”, udostępnionego autorowi w 2014 r. przez Panią Małgorzatę Lisowską.

Obok: Okupacyjna Kennkarta Juliana Tomeckiego (ze zbiorów Juliana Tomeckiego).
Poniżej: Partyzancki odpust w Szczawie. W środku zdjęcia, z białą-czerwoną opaską, Julian Tomecki „Brzoza”. Fot. ze zbiorów rodziny Frankowiczów.



DOBRE, BO LIMANOWSKIE!

WARZENIE PIWA
TRAKTUJEMY
JAKO WIELKĄ
SZTUKĘ



BROWARS SP. Z O.O.
UL. ŻWIRKI I WIGURY 20
34-600 LIMANOWA
WWW.BROWARS.PL

BROWARS

BROWAR RZEMIEŚLNICZY



CENTRUM TECHNICZNO - OGRODNICZE

OGRODNIK

Limanowa, ul. Krótka 12 tel. 18 337 25 47

www.ogrodnik.limanowa.pl

T 15-95.6 HD-4

9 899 zł



solo
by **AL-KO**



KOSIARKI SPALINOWE

OD 1 295 zł

O SZCZEGÓŁY PROMOCJI ZAPYTAJ W NASZYM SKLEPIE: LIMANOWA, ul. KRÓTKA 12 TEL. 18 337 25 47

PROFESJONALNIE I KOMPLEKSOWO
REALIZUJEMY ZAMÓWIENIA
FINANSOWANE Z DOTACJI UPI I UPE
STARSZ SIĘ, LUB UZYSKAŁEŚ DOTACJĘ
ZAPYTAJ
O OFERTĘ

RATY 0%

0% ODSETEK | 0% PROWIZJI | 0% PIERWSZEJ WPLATY

140 lat

BANKU
SPÓŁDZIELCZEGO
W LIMANOWEJ

AUTOLOKATA

XV edycja loterii

Ulokuj szczęście
w Autolokacie - **wygraj**

RENAULT CAPTUR

i inne nagrody



Promocja trwa od 30.08.2017 r. do 30.11.2017 r.

W Loterii biorą udział osoby, które od 30.08.2017 r. do 30.11.2017 r. założą lokatę o nazwie Autolokata w dowolnej placówce Banku Spółdzielczego w Limanowej i utrzymają ją w całości do 31.05.2018 r. Loteria urządzana jest na podstawie zezwolenia Dyrektora Izby Administracji Skarbowej w Krakowie Szczegóły Loterii zawarte są w Regulaminie.

www.bs.limanowa.pl/autolokata



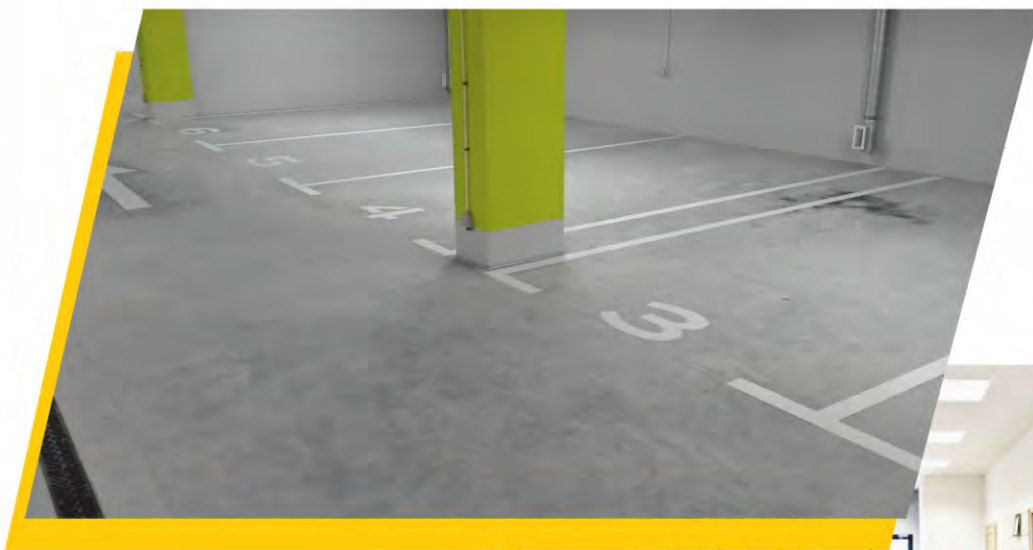


P O S A D Z K I P R Z E M Y S Ł O W E

L posadzki przemysłowe

L posadzki żywiczne

L wylewki anhydrytowe



tel. 604 580 196, 604 426 516

biuro@posadzka-przemyslowa.pl www.posadzka-przemyslowa.pl